

SPOTKANIA ŚWIRZAN

Nr 3 (180)

LUBIN

2026 r.



80-lecie przesiedlenia z Kresów. Grupa Świrzan podczas postoj u trzeciego transportu w Chocianowie, ok. 10 stycznia 1946.

Fot. Kazimierz Potaszyński.

Szanowni Krajanie,



ie ma miesiąca, aby na Ukrainie nie wybuchła jakaś afera związana z korupcją, zakupem broni po zawyżonych cenach, defraudacją funduszy przeznaczonych na kontrakty, czy nadużyciem przy zakupie dronów, wyposażenia żołnierzy itp. Niekiedy autorzy afer wywołają się z najbliższego otoczenia prezydenta.

W połowie stycznia tego roku Służba Bezpieczeństwa Ukrainy poinformowała o rozbiciu grupy przestępczej specjalizującej się w handlu bronią zdobytą na terenach konfliktów zbrojnych.

Służby ujawniają, jaki był mechanizm tego procederu. Grupa wykorzystywała broń pochodzącą z terenów przyfrontowych, którą ukrywała w specjalnie do tego przygotowanych skrytkach. Co więcej, broń była naprawiana w tajnych podziemnych warsztatach. Części potrzebne do naprawy uszkodzonych sztuk broni zamawiane były przez internet. Potem wystarczyło już tylko poszukać nabywców w przestępczych środowiskach.

W toku akcji przeprowadzonej w Kijowie oraz obwodach dnipropietrowskim i kijowskim, został zatrzymany organizator handlu bronią, a funkcjonariusze odkryli imponujący arsenał broni oraz amunicji. Wśród zabezpieczonych przedmiotów znalazła się broń, granaty, granatniki, kilkanaście tysięcy amunicji oraz znaczne ilości gotówki.

Lubin, kwiecień 2026r.

Józef Wyspiański

Spis treści numeru 180

Str.

3. Kartka z pamiętnika. A. Dominiak. Maria - dziewczyna spod Lwo-wa (II).
20. S. Tarnawski. Astry.
21. Rok 1863 w Janczynie.
23. J. Wyspiański. Językowy *baniaczek*.
27. Tragedia w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta (IV).
33. J. Wietrzny. Rodzina Malskich w Świrzu.
36. Dunajów w józefińskim katastrze gruntowym (III).
42. XX. Bzy.
43. „Nie ma wielkiej Rosji, dopóki istnieje jakakolwiek Polska” (I).
46. Listy z archiwum redakcji (XIV).
47. Listy do redakcji. 48. Informacje.

Anna Dominiak

Maria - dziewczyna spod Lwowa (cz. II)

Rodzina utrzymywała serdeczne i żywe kontakty z przybraną rodziną Ludwika z okolic Pyzdr – rodzeństwem, którym nie byli jego biologiczni bracia i siostry, lecz dziećmi wspomnianej ciotki, która przygarnęła go po śmierci jego rodziców. Relacje z nimi były i są do dziś niezwykle bliskie – kuzyni mojej mamy są z nią w żywych kontaktach. W czasach, gdy moi dziadkowie żyli, odwiedzali się często, zapraszali do siebie na święta, uroczystości rodzinne. Choć życie rzuciło ich w różne miejsca, więzi te nigdy nie osłabły.

Dzieciństwo Krystyny i jej braci w Starosiedlu, w domu pod numerem 66, było szczęśliwe, ale też, jak już wspomniałam, pracowite. Każde z dzieci miało swoje obowiązki: pomagali w domu, w obrządku zwierząt, przy zbiorze ziemniaków, podczas wykopków, w pracach przy burakach, przy pieleniu ogrodu.

Dbali także o otoczenie domu – sprząтали podwórko i pobocze przy drodze. W tamtych czasach była to powszechna, wiejska tradycja: w każdą sobotę, zanim zapadł wieczór, zamiatano i grabiono obejście, aby wszystko było uporządkowane na niedzielę. Dopiero gdy prace zostały zakończone, nadchodził moment kąpieli całej rodziny. Wszyscy kąpali się po kolei w tej samej wodzie, czerpanej pompą ze studni. Babcia grzała tę wodę w dużym garze na płycie kuchennej. Dopiero gdy zakończono rytuał kąpieli, można było spokojnie rozpocząć świętowanie (dziś byśmy powiedzieli: weekendu, ale wtedy przecież nie znano tego słowa). Oczekiwano zatem na niedzielę, która wtedy była dla wszystkich prawdziwym wytchnieniem. Dzień święty – zgodnie z przykazaniem Dekalogu – świętowano naprawdę uroczyście, nie podejmując się, jeżeli nie było to konieczne, żadnych prac.

Starosiedle było wsią dobrze zorganizowaną, tętniącą życiem. Był tu kościół, szkoła podstawowa, młyn, siedziba PGR-u w dawnym pałacu oraz świetlica (usytuowana w niegdysiejszej, wspomnianej już gospodzie należącej do Paula Lehmana).

Nauczyciele z zaangażowaniem animowali życie kulturalne Starosiedla: działał teatrzyk wiejski, w którym występowali dorośli mieszkańcy – wśród nich także dziadek Ludwik. Podobno potrafił znakomicie wcielić

się w różne role! Spektakle odbywały się na scenie sali wiejskiej, gdzie zbierali się niemal wszyscy mieszkańcy. Był również teatrzyk szkolny, w którym występowały dzieci. Moja mama do dziś pamięta ekscytację, gdy jako mała dziewczynka grała w sztuce na motywach baśni Marii Kopnickiej „O krasnoludkach i o sierotce Marysi”. Dla niej i innych dzieci było to niebywale emocjonujące wydarzenie – występ na prawdziwej scenie był wielkim przeżyciem, a dla rodziców – okazją do dumy z własnych dzieci.

Te wspólne chwile – sobotnie porządki, niedzielne msze, próby teatralne w świetlicy – tworzyły rytm życia, który scalał rodzinę i całą wiejską społeczność. Było w tym codziennym trudzie miejsce na pracę, na odpoczynek, ale też na ciche echo dawnych Kresów, które Maria wносиła do nowego domu. Czasem przejawiało się ono w zwykłym słowie, drobnym zwyczaju albo – jak w styczniową Wigilię – w odruchu pamięci o tym, co zostało za wschodnią granicą.

Życie religijne w Starosiedlu również tętniło swoim rytmem. Miejscowy, polski ksiądz Jagiełło, który nastał po ewangelickim, dbał, by dzieci czuły się częścią wspólnoty. W okresie Bożego Narodzenia gromadził najmłodszych w kościele i powierzał im ważne zadania. Wspólnie przygotowywali żłóbek – ustawiali figurki, rozwieszali girlandy z kolorowego papieru, poprawiali sianko w małej drewnianej stajence. Ksiądz rozdawał dzieciom teksty wierszyków, które miały być recytowane podczas świątecznych nabożeństw. Mama wspomina, że te występy były dla niej zawsze momentem wielkiego stresu – wstyd, który musiała w sobie przełamać, gdy stała przed całą parafią, był ogromny. Ale te doświadczenia nauczyły ją odwagi, która później przydała się w życiu.

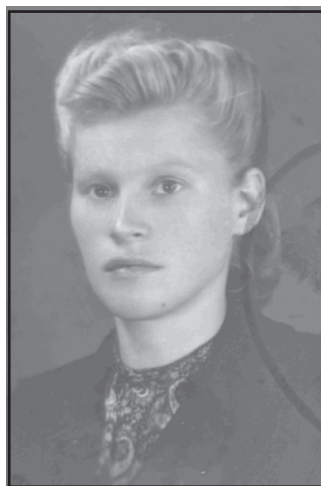
Mój dziadek Ludwik był postacią szczególną w historii wsi. Zaraz po wojnie, już od 1945 r. pełnił funkcję najważniejszego urzędnika



Autorka wspomnień,
fotografia z 2023 roku.

w Starosiedlu (wspomina o tym w swoich pamiętnikach także Bernard Schulz). Później przez wiele lat był sołtysem, radnym gminnym i powiatowym, ławnikiem sądowym, a także aktywnym społecznikiem. Z inicjatywy dziadka Ludwika i jego kolegi Feliksa Spichały powstała w Starosiedlu Ochotnicza Straż Pożarna. Jako przewodniczący rady szkoły organizował w latach sześćdziesiątych dożywianie dzieci, troszcząc się o to, by żadne z nich nie było głodne w trudnych czasach. Był człowiekiem poważanym i szanowanym – nie tylko jako urzędnik, lecz także jako ktoś, do kogo przychodziło się po radę czy pomoc.

Jako mała dziewczynka zapamiętałam scenę, która oddaje codzienność tamtych czasów. Do dziadka przychodzili ludzie po kartki na żywność i w innych sprawach urzędowych. Siedział przy swoim stole z zeszytem, w którym starannie zaznaczał, kto już odebrał swój przydział. Obok leżała linijka, niezbędna, by wszystko prowadzić równym, czytelnym zapisem. Mimo że sam ukończył niewiele klas, miał piękne, pochylone, niezwykle staranne pismo, które zawsze mnie zachwycało. Ja sama również przywiązuję dużą wagę do pisma ręcznego – może to właśnie po nim odziedziczyłam tę cechę? Każdy odbiór kartki potwierdzano podpisem – był to porządek, który dziadek cenił i którego wymagał.



Maria Sarbinowska,
1946 r.

Być może ten jego szacunek do ładu i precyzji wyrastał z dwóch źródeł: z jednej strony – z wielkopolskiego pochodzenia, które od pokoleń kształtowało ludzi pracowitych, oszczędnych i odpowiedzialnych, a z drugiej – z czasów niewoli pod butem okupanta, kiedy wymagana była bezwzględna dyscyplina.

Ludwik miał swoje drobne, codzienne rytuały. Oto przykład jednego z nich: po obiedzie zawsze robił sobie krótką drzemkę, ale w niezwykły sposób – nie kładł się do łóżka ani na kanapę. Pozostawał, siedząc na swoim krześle przy stole, pochylał głowę na zgiętych ramionach i w ten sposób regenerował się w zaledwie kwadrans. Po tej chwili wytchnienia wstawał, jak gdyby nigdy nic, gotowy do dalszych obowiązków.

Ze względu na postępującą chorobę wzroku, która coraz bardziej utrudniała mu pracę, dziadek musiał w końcu zrezygnować z funkcji sołtysa. Było to dla niego bolesne doświadczenie – nagła pustka w jego życiu stała się ciężarem, z którym trudno było mu się pogodzić. Cztery miesiące po rezygnacji Ludwik zmarł, mając zaledwie 71 lat. Odszedł człowiek, który przez dziesięciolecia był sercem i głosem swojej wsi, a jego śmierć odczuli nie tylko bliscy, lecz także cała społeczność Starosiedla.

Dziadkowie wymagali od swojej córki i synów pełnego zaangażowania w życie gospodarstwa. Już od najmłodszych lat dzieci miały swoje obowiązki, które wpisywały się w rytm wiejskich prac i pór roku. Jednym z ważniejszych zadań było wypasanie krów na łące, oddalonej od domu aż o cztery kilometry. O świcie, około siódmej rano, wyruszało się z całym stadem, by wrócić dopiero wieczorem. Na miejscu dzieci budowały szałas z gałęzi i same, w kociołku nad ogniskiem, przygotowywały sobie jedzenie – prostą zupę z kostki, makaron na mleku czy kisiel. Choć wypasanie krów było obowiązkiem, wspomnienia z tamtych dni przynosiły radość. Była to też okazja do zabawy, żartów, a także do spokojnego czytania książek – najczęściej szkolnych lektur, które w tym naturalnym otoczeniu zyskiwały inny smak.



Autorka wspomnień z babcią Marią.

Po pracy przychodził czas na zabawę. Wybrukowana jeszcze w czasach niemieckich ulica była bardzo bezpieczna, samochody jeździły niezwykle rzadko, więc dzieci mogły bawić się swobodnie. Cała wieś tworzyła jedną dużą rodzinę – wszyscy się znali, dzieci dorastały razem, a sąsiedzi pilnowali się nawzajem. Zabawy były proste, ale dawały mnóstwo radości: w chowanego, przeska-kiwanie przez rów, „klasy”. Zimą, gdy na wsi czasu było znacznie więcej – zjeżdżanie na sankach, jazda na łyżwach, a także wspólne odśnieżanie podwórek i chodników – praca, która była traktowa-

na jak kolejna zabawa.

Dzieciństwo mojej mamy było beztroskie, skromne i pracowite, ale dzięki zapobiegliwości Marii nigdy nie było w nim miejsca na niedostatek czy głód. Babcia umiała zadbać o to, by w domu zawsze było jedzenie. Gotowała pyszne zupy, gęste sosy (do dziś czuję ich zapach), piekla doskonałe ciasta drożdżowe. Swoje dzieci, zwłaszcza córkę Krysie, nauczyła nie tylko gotować, ale i wytwarzać wszystko, co potrzebne w gospodarstwie: robić masło, sery, piec chleb.

Babcia była kobietą pełną dumy, która zawsze powtarzała swoim dzieciom, że pożyczanie pieniędzy jest wstydem. Dlatego należy tak gospodarować swoimi zasobami, by móc pożyczać innym, a nie samemu prosić o wsparcie. Ta jej duma objawiła się także w sytuacji, gdy po wojnie do wsi docierały dary z Niemiec. Nigdy nie chciała z nich korzystać, powodowana, jak można się domyślać, żalem za odebraną jej przez Niemców wolność.

W domu mojej babci rytuałem, który miał w sobie coś niemal uroczystego, było cotygodniowe pieczenie chleba. Wypiek kilku bochenków odbywał się raz w tygodniu – zwykle w sobotę. Poprzedniego dnia babcia przygotowywała zaczyn, tzw. zakwas i wstępnie wyrabiała ciasto w dużej dzieży. Na drugi dzień ciasto było wyrabiane ponownie, formowane w bochenki i wkładane do specjalnych koszyczków wyłożonych ściereczkami. Dziadek przygotowywał wcześniej drewno, po czym rozpalał piec, dbając o to, by ogień miał odpowiednią moc. Gdy chleb trafiał do pieca, w całym domu unosił się zapach ciepła i bezpieczeństwa, a jego woń przenikała nawet na podwórko. Jeśli komuś w tygodniu zabrakło pieczywa, sąsiedzi pożyczali sobie bochenki nawzajem – to była cicha wiejska solidarność, zwyczaj, który nikogo nie dziwił.

Wszystkie dzieci musiały znać podstawy porządków – sprzątania, pielienia w ogrodzie, ale także opieki nad młodszymi. Podobnie żyły inne rodziny w Starosiedlu – wszyscy byli na podobnym poziomie, wszyscy pracowali i wspierali się wzajemnie.

Babcia często wracała wspomnieniami do Chlebowic Świrskich, swojej utraconej rodzinnej wsi. Opowiadała, że przed wojną Polacy i Ukraińcy żyli tam w zgodzie. Sąsiedzi, podobnie jak w powojennym Starosiedlu pomagali sobie nawzajem, a w czasie świąt dzielili się potrawami. Nie budziły zdziwienia małżeństwa mieszane – Polak żeniący się z Ukrainką, czy Ukrainka wychodząca za Polaka. Podziały pojawiły się dopiero

w czasie wojny, gdy wielka historia wdarła się w życie zwykłych ludzi, przynosząc strach i nieufność. Dla Marii tamte dawne czasy były wspomnieniem normalności i harmonii, które już nigdy nie powróciły.

Wszystko to zmieniło się w czasie wojny. Przyjaźń między sąsiadami zaczęła ustępować nienawiści, podsycanej przez ideologie i brutalność tamtych czasów. Maria powtarzała później, że ta nienawiść przyszła od strony Ukraińców – boleśnie świadczyła o tym tragedia, jaka dotknęła jej własną rodzinę, o której dowiedziała się z listu od swojej mamy, mojej prababci Katarzyny. Pisała ona, że jej mąż Teodor, ojciec Marii, został napadnięty i pobity przez Ukraińców tak dotkliwie, że po kilku tygodniach zmarł w wyniku odbicia nerek. Był to nie tylko cios dla rodziny, ale i symboliczny znak tego, jak okrutna historia wdarła się w życie zwykłych ludzi, zmieniając dawnych sąsiadów w wrogów. Nie wiadomo, co dokładnie stało za tą tragedią. Być może Teodor, który – jak się przypuszcza – mógł być pochodzenia ukraińskiego, otwarcie sprzeciwiał się nacjonalistycznym hasłom, które zaczynały dominować wśród części sąsiadów. Pan Józef Wyspiański, który badał historię ludobójstwa na tych terenach, potwierdza, że takie sytuacje zdarzały się w wielu wsiach – ludzie byli bici lub prześladowani za to, że odmawiali oddania dzieci do UPA, albo dlatego, że głosili antynacjonalistyczne poglądy. W przypadku mojego pradziadka Teodora możemy jedynie snuć hipotezy, oparte na szerszym kontekście tamtych wydarzeń, bo prawdziwych powodów jego śmierci już raczej nie poznamy. Przyczyny mogą



Krystyna, córka Marii, oraz Bogdan na schodach domu, który należał niegdyś do Oskara i Erny Hänschke. Starosiedle, rok 1971.

być ukryte. Możliwe, że właśnie to bolesne doświadczenie – śmierć ojca i świadomość, jak szybko dobrzy sąsiedzi mogą stać się wrogami – było dodatkowym powodem, dla którego Maria nie chciała po wojnie wracać na Wschód. Była to więc decyzja nie tylko praktyczna, lecz także emocjonalna: odcięcie się od miejsca, które przestało być bezpieczne [1].

Po wojnie kontakt z rodziną, która pozostała w Chlebowicach, był bardzo ograniczony, ale nigdy całkowicie nie zanikł. W rodzinnej wsi została moja prababcia Katarzyna oraz młodszy brat babci, Michał, który miał dwie córki. Siostra babci, Eudokia, zmarła jako młoda dziewczyna w wyniku powikłań okołoporodowych. O jej maleńkim dziecku nic nie wiemy.

Moja prababcia z Chlebowic, Katarzyna, odwiedziła kiedyś Starosiedle. Było to w czasach młodości mojej mamy. Opowiadała mi, że babcia przyjechała pociągiem do oddalonej od Starosiedla o kilkadziesiąt kilometrów stacji kolejowej (Żary lub Żagań), a stamtąd opłaconą przez swoją córkę Marysię taksówką. Gdy babcia wysiadała z auta, kierowca, widząc wzruszenie towarzyszące witającym prababcie, zdążył krzyknąć: „tylko nie płakać za dużo!” W pamięci mojej mamy, jej wnuczki, zapisał się widok kobiety ubranej w suto marszczoną, ciemnoszarą, bardzo długą, zamaszystą spódnicę, jakże odmienną od tych, które nosiły kobiety w Starosiedlu.

Później, w latach sześćdziesiątych odwiedził naszą rodzinę również brat prababci, Michał, wraz ze swoimi córkami. Mama wspomina, jak bardzo utkwił jej w pamięci ich komentarz dotyczący pościeli. Goście byli zaskoczeni, że na łóżkach leżą śnieżnobiałe poszwy. W tym zdarzeniu uwidoczniły się cywilizacyjne różnice. Dla babci, która od dawna mieszkała na tych terenach, biała pościel był już normą, dla jej rodziny z Kresów – zaskoczeniem. Ta scena dobrze oddaje przepaść, która zaczęła się tworzyć między Kresami a Ziemią Odzyskaną.

Zdarzały się również podróże w przeciwnym kierunku. Babcia Marysia wraz z najstarszym synem, wujkiem Edwardem, pojechała kiedyś

[1] Dotkliwe pobicie pobratymców przez wojaków z nacjonalistycznych bojówek było dość popularne po zakończeniu wojny, gdy bojówki UPA ukrywały się w lesie. Znaną są przypadki wykonania kary 25 batów na kobiecie w Chlebowicach Świrskich za doprowadzenie krowy do właścicielki będącej w Świrzu oraz obicie kobiety, również z tej wioski, za niedostarczenie pieczonego chleba do lasu. Dop. red.

odwiedzić rodzinne ziemie. Była to podróż długo odkładana, pełna emocji i napięcia. Z jednej strony babcia cieszyła się perspektywą spotkania z bliskimi, z drugiej obawiała konfrontacji zapamiętanych obrazów z powojenną, okaleczoną rzeczywistością. Niestety, ani zdjęcia, ani bogatsze wspomnienia z tych historycznych spotkań nie zachowały się. Babcia niewiele mówiła o tej podróży – jej opowieści były powściągliwe, jakby nie chciała otwierać ran, które nigdy do końca się nie zabiły. Jedyne te przywiezione stamtąd skrzypce, jak złota podkowa w „Weselu” Wyspiańskiego, pozostały namacalnym dowodem tej powojennej podróży na Kresy.

Autorka w
wspomnień,
z dziadkiem
Ludwikiem
Serbinowskim
na schodach
poniemieckiego
domu
w roku 1976.



Listy od prababci Katarzyny, choć kiedyś tak ważne, niestety nie zachowały się. Nie ma też żadnych zdjęć z tamtego okresu. Ach, gdyby wtedy istniały smartfony! To poczucie braku – niemożności zobaczenia twarzy i miejsc, które tworzyły życie mojej babci – sprawia, że każdy okrucieństwo informacji jest dla mnie bezcenny. Dlatego tak szczególną wartość mają dla nas książki profesora Stanisława Niciei. Jego „Kresowa Atlantyda” to nie tylko zapis faktów czy miejsc – to próba ocalenia pamięci o całym świecie, który został wymazany. Czytając te książki, mogę w wyobraźni przenieść się do świata mojej babci, zobaczyć wioski i miasteczka podobne do Chlebowic, posłuchać historii ludzi, którzy przeżywali radości i tragedie tak podobne do jej doświadczeń. To dla mnie niezastąpiona droga do zrozumienia tamtej rzeczywistości, szczególnie teraz, gdy w naszej rodzinie pozostało już tak niewielu świadków, którzy mogliby

o niej opowiedzieć własnym głosem.

Jak już wspomniałam, babcia jeszcze na Wschodzie wyuczyła się krawieckiego fachu. Była w tym bardzo dobra – potrafiła szyć, haftować, wyszywać misterne wzory. Swoją wiedzę i umiejętności przekazywała później mojej mamie, Krystynie, cierpliwie wtajemniczając ją w arkana krawiectwa. Mama uczyła się od niej wyszywania i haftowania, szycia podstawowych ściegów na maszynie Singer, która pozostała w domu po Niemcach. Pod czujnym okiem babci powstawały pierwsze poszewki na pościel, serwety i obrusy, a także swetry i czapki, bo babcia potrafiła również robić na drutach i szydełkować. To był świat, w którym ludzie tworzyli przedmioty własnymi rękami, bo gotowych rzeczy po prostu nie było w sklepach.

Codziennie posiłki były proste, ale zawsze sycące. Najczęściej jadło się w domu zupy – pożywne, gotowane na warzywach i mięsie z własnego gospodarstwa, a także pierogi w różnych wariantach. W ogóle dania mączne często gościły wtedy na stołach. Wyjątkowym dniem, jak wspomina moja mama, była niedziela – ale to chyba norma w każdym domu. Wtedy na stole pojawiały się dwa dania: rosół oraz mięso z wcześniej zabitej kury albo kaczki, zawsze pochodzącej z domowego chowu. No i deser – bardzo często budyń. Dziadek przywiązywał dużą wagę do deseru, tłumacząc to w zabawny sposób. Wszystko wtedy było swojskie, własne, prawdziwe – smakowało inaczej niż dzisiejsze jedzenie ze sklepu.

W gospodarstwie babci hodowane były kury, kaczki, indyki, owce, króliki, perliczki, a także psy i koty. Były też konie, krowy i świnie – wszystko, co było potrzebne do prowadzenia wiejskiego domu. Pewnego dnia, dla kaprysu mojej mamy, w domu pojawiła się świnka morska. Początkowo mama troskliwie się nią zajmowała, ale z czasem jej zapał się wyczerpał i opiekę nad stworzonkiem przejął dziadek. Świnka wylądowała w stajni, gdzie było ciepło. Szybko stała się też małą atrakcją dla wszystkich odwiedzających gospodarstwo. Dziadek z pasją hodował też króliki, a ponieważ byłam jego ulubioną wtedy wnuczką, wykombinował mi z króliczych skór piękną śnieżnobiałą czapkę z pomponem.

Trzeba podkreślić, że dziadek Ludwik był uosobieniem pracowitości. Codziennie, od wiosny do zimy, pracował w polu. Chodził za pługiem i innymi maszynami, dbając o to, by ziemia przynosiła plony. W tamtych czasach konieczne było poleganie na własnych siłach – człowiek i jego zwierzęta stanowili zespół, który razem pracował na byt ro-

dziny. Mama opowiadała nieraz, że w gospodarstwie był koń, który był głównym pomocnikiem dziadka. Zwierzę było silne i posłuszne, a przy tym stanowiło powód do dumy całej rodziny, bo jego posiadanie świadczyło też o statusie – nie wszyscy mogli sobie na niego pozwolić. Prezentował się pięknie i był prawdziwą ozdobą gospodarstwa.

Dziadek Ludwik, choć przeszedł wiele, był człowiekiem łagodnym i dobrotliwym. Udział w kampanii wrześniowej i trauma bitwy nad Bzurą odcisnęły na nim piętno. Był raczej małowówny, nie opowiadał o wojnie ani o swoim bólu. Jego milczenie było rodzajem tarczy – sposobem, by nie wracać do obrazów, których nie da się zapomnieć. Mimo to w codziennym życiu emanował spokojem i ciepłem, jakie czuło się, gdy był blisko.



Krystyna, córka Marii, z mężem.
Rok 1971.

Babcia Maria była jego przeciwieństwem. Wymagająca, zapobiegliwa, choć też mało wylewna – bardziej surowa niż czuła. Jej oschłość nie wynikała z braku miłości, lecz z ogromu obowiązków, które na niej spoczywały. Opieka nad dziećmi, prowadzenie gospodarstwa, praca w polu i w domu – wszystko to wymagało od niej siły, zorganizowania i twardej ręki.

Babcia nie tylko przędła wełnę, farbowała ją i jak wspominałam wcześniej, robiła na drutach swetry, czapki, skarpety i szaliki. Haftowała i szyła, ale także przygotowywała zapasy na zimę: marmolady, powidła, kompoty, kiszonki. Wekowała też mięso, bo w tamtych czasach nie było zamrażarek ani lodówek. Wszystko musiało być

zakonserwowane tradycyjnymi metodami. Dom był jak mała, samowystarczalna manufaktura, w której każdy miał swoje zadania. Dziś, gdy o tym myślę, trudno mi pojąć, skąd dziadkowie brali tyle siły. Żyli bez udogodnień, które dla nas są oczywistością – bez bieżącej wody, elektrycznych urządzeń, gotowych produktów ze sklepu. Każda rzecz, którą dziś kupujemy w kilka minut, wymagała od nich godzin pracy. Nie narzekali, bo nie znali innego życia.

Ich świat był zbudowany na prostych zasadach: praca dawała chleb, porządek dawał poczucie bezpieczeństwa, a rodzina była wspólnym frontem, na którym wszyscy walczyli o przetrwanie. Patrząc na to z perspektywy dzisiejszych czasów, ich codzienność wydaje się niemal nadludzka – a przecież dla nich była normalna.

Wraz z upływem lat życie rodziny zetknęło się także z wielką historią, tym razem w jej powojennym, politycznym wymiarze. Wujek Janek, już jako młody człowiek, odznaczał się niezależnym myśleniem i odwagą w wyrażaniu własnych poglądów. Podczas studiów w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Opolu znalazł się w samym centrum wydarzeń marca 1968 roku. W dniach 17–19 marca 1968 roku na ulicach Opola pojawiły się ulotki, które wzywały mieszkańców do sprzeciwu wobec władzy komunistycznej. Wujek był wśród tych, którzy je kolportowali, wierząc, że w ten sposób broni prawdy i wolności. Jak wynika z materiałów Instytutu Pamięci Narodowej, sprawa była prowadzona przez Wydział III oraz Wydział Śledczy KW MO w Opolu pod kryptonimem „Wichrzyciele”. Śledztwo zakończyło się ujęciem wszystkich kolportujących i skierowaniem ich spraw na drogę sądową. W październiku 1968 roku Sąd Powiatowy w Opolu uznał go winnym i skazał na trzy miesiące aresztu, z warunkowym zawieszeniem wykonania kary na dwa lata. Choć wyrok nie oznaczał więzienia w sensie dosłownym, dla młodego człowieka było to wstrząsające doświadczenie, piętno „wroga systemu” i strach, który rozciągał się na całą rodzinę. O wydarzeniach tych mówiło się później półgłosem, z wielką ostrożnością – w czasach PRL-u nawet echo takich spraw mogło sprowadzić na rodzinę kłopoty. Wujek musiał też pożegnać się ze swoją uczelnią (studia ukończył później na Uniwersytecie Poznańskim). Dla mojej babci Marii były to jedne z najtrudniejszych miesięcy życia. Surowa na co dzień, wymagająca i powściągliwa w okazywaniu uczuć, w tamtym czasie rozpadała się wewnątrz z rozpacz. Nie rozumiała świata polityki ani wielkich idei – wiedziała tylko, że jej syn jest

w niebezpieczeństwie, napiętnowany przez władze, i że nie może mu pomóc. Bóg jeden wie, co wtedy przeżywała. Po latach wujek został zrehabilitowany, a jego działalność uznano za część walki o wolność i demokrację. W wolnej Polsce został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego, co było symbolicznym domknięciem historii, która zaczęła się od kilku ulotek drukowanych w konspiracji. Dla naszej rodziny miało to szczególne znaczenie: ból i lęk z czasów PRL-u zostały publicznie nazwane i uznane, a babcia – choć już nieżyjąca – jakby pośmiertnie otrzymała pocieszenie, że jej łzy i cierpienie nie były daremne.

A teraz nieco przyjemniejsze obrazy - mama wspominała, że od czasu do czasu przez wieś przejeżdżały cygańskie tabory. Pojawienie się kolorowych wozów, koni i ludzi w barwnych strojach było wydarzeniem, które wzbudzało ciekawość dzieci i dorosłych. Cyganie oferowali różne drobne usługi – np. wróżenie – ale podczas takich wizyt trzeba było mieć się na baczności. Mama pamięta sytuację, gdy jedna z kobiet w sieni wróżyła babci Marii z ręki, a w tym samym czasie druga wdrapywała się na strych, gdzie przechowywano domowe skarby. Kradzieże Cyganów było znane wszystkim we wsi, ale kolorowe tabory pozostawiały po sobie wspomnienie egzotyki. Ach, to były czasy! Dziś prawdziwych Cyganów już nie ma...

Istotnym wspomnieniem z tamtych lat były sytuacje, w których sąsiedzi, jak to wówczas określano, „sprzęgali się” do wspólnych polowych prac, takich jak żniwa czy wykopki. W tamtych latach sąsiedzka pomoc była czymś naturalnym i niezbędnym, cementowała też międzyludzkie więzi. Nie każda rodzina miała własny sprzęt czy wystarczającą siłę roboczą, dlatego w czasie większych akcji łączono siły. Jednego dnia wszyscy pracowali na polu jednej rodziny, kolejnego – na polu drugiej, i tak po kolei, dopóki każdy nie zebrał swoich plonów. Była to praca bardzo ciężka i wyczerpująca, trwająca od wczesnego rana do późnego wieczora. Zmęczeni gospodarze nie mieli siły na świętowanie – wracali do swoich domów, by następnego dnia znów stanąć do pracy. Dzięki takiemu wsparciu żadna rodzina nie została sama z obowiązkami, które w pojedynkę byłyby nie do udźwignięcia.

Wśród najbliższych sąsiadów moich dziadków warto wymienić rodziny: Głodków, Sikorów, Dziwulskich, Nowakowskich i Spichałów. Więzy między nimi były bardzo silne, poświadczone wzajemną pomocą. Wszyscy Polacy byli tu ludnością, która napłynęła z różnych stron świata –

nie mieli tu swoich korzeni, więc naturalnie dążyli do zacieśniania więzi i istworzenia nowej wspólnoty od podstaw. Trudno dokładnie ustalić dziś, z jakich stron przybyli sąsiedzi (babcia zabrała tę wiedzę ze sobą i już nam o tym nie opowie), ale moja mama wspomina, że mówiło się głośno o tym, że jeden z najbliższych sąsiadów urodził się aż w Chicago! Taki wielki świat w tak małym Starosiedlu.



Krystyna z braćmi Leszkiem i Edkiem
na podwórku rodzinnego domu. Rok 1971.

Fot. Sylwester Janas.

Babcia także zawsze podkreślała swoje pochodzenie. Nie wstydziła się rodzinnych stron – wręcz przeciwnie, była dumna, że urodziła się pod Lwowem. Zawsze jednak świetnie mówiła po polsku, nie dało się w jej akcencie wyczuć najmniejszej wschodniej naleciałości. Wyznała kiedyś, że zna język ukraiński. Nikt nigdy jednak nie słyszał, żeby w tym języku rozmawiała. Opanowała też komunikatywnie język niemiecki. Korespondowała, pamiętam te listy, z potomkami rodziny Bernarda Schulza. Ta rodzina nawet odwiedziła nas po latach – pamiętam wielkie kiście bananów, które nam przywieźli w czasach, gdy u nas było bardzo zgrzebnie. Babcia była bardzo gościnna i lubiła przyjmować gości.

Nie zachowały się fotografie z tych odwiedzin, ale są inne ciekawe kadry. Na jednym z nich widać moją babcie Marię i sąsiadkę Stefanię Głoddek, elegancko ubrane, siedzące na trawie z gromadką swoich wystrojonych do zdjęcia dzieci. Wyglądają bardzo stylowo i są jak jedna wielka rodzina. Tak też wtedy żyli.

Dużo pisałam o wyczerpującej pracy zarówno rodziców, jak i dzieci, w tamtych czasach. Błędnym byłoby jednak myślenie, że życie na poniemieckiej wsi w trudnych i zgrzebnych latach powojennych to była tylko ta niekończąca się praca. Bywały też radosne i szalone chwile spotkań towarzyskich przy suto zastawionych stołach i muzyce. Właśnie pod-

czas jednej z takich zabaw, zwanej podkoziołkiem, pewien sąsiad o wdzięcznym nazwisku Pycha, mimo że niezbyt wysoki, podskoczył tak niefortunnie, że rozbił głową piękny żyrandol wiszący nad stołem dziadków. I tak lśniące cacko zakończyło swój żywot, ale za to narodziła się anegdotka, która na zawsze weszła do rodzinnych opowieści.

Tak oto płynęły lata, miesiące, dni i noce na ponemieckiej ziemi, gdzie radości przeplatały się z troskami. W starych murach, które nie tylko pamiętały historie swoich poprzednich właścicieli, ale w których przede wszystkim powstawała nowa opowieść. Opowieść o ludziach potrafiących połączyć we wspólnym celu tradycje swoich rodzinnych domów: z Kresów i Wielkopolski. W ten sposób trwał dom, w którym mieszkała pamięć.

Pożegnania

Każde zdanie tych wspomnień jest dla mnie wrażeniem wskrzeszenia mojej babci – jakby powstawała z prochu, wstawała z grobu, na nowo ożywała, młodziła. Ale wiem, że to tylko piękny, złudny sen. Przemijanie jest przecież procesem nieodwracalnym, a raz zamkniętego życia nie da się powtórzyć. Pisałam wcześniej o grobku małego wujka Mariana, który żył zaledwie kilka dni. Jako dziewczynka wierzyłam wtedy, że tak będzie zawsze, że nie będzie żadnych innych grobów – ten był dla mnie pewnego rodzaju abstrakcją, wierzyłam, że wszyscy będą zawsze żywi: babcia, dziadek, wujkowie... Świat wydawał mi się wtedy nienaruszalny. Niestety, nieubłagany bieg czasu brutalnie wytrącił mnie z tego dziecięcego przekonania.

Pierwszy odszedł dziadek Ludwik. Umarł nagle, w wieku zaledwie siedemdziesięciu jeden lat, cztery miesiące po zakończeniu pełnienia funkcji sołtysa. Był pierwszy dzień stycznia. Otwieraliśmy jeszcze jednego szampana, by uczcić początek nowego, 1985 roku, kiedy dotarła do nas ta tragiczna wieść z gubińskiego szpitala – dziadek nie żyje. „Angina pectoris” – tak brzmiało chłodne, medyczne określenie czegoś, co w jednej chwili rozbiło w pył nasze poczucie ciągłości życia.

Druga była nasza dzielna bohaterka z Kresów, babcia Marysia. Młodsza od dziadka o 11 lat, przeżyła go o niewiele ponad dwa lata, odeszła w marcu 1987 r. Umarła również nagle, z powodu wylewu, w dniu imienin swojej córki, Krystyny. Tamtego dnia opiekowała się swoją najmłodszą wnuczką Justynką i nie mogła się dodzwonić do córki, by złożyć

jej, jak co roku, życzenia. Problemy z połączeniami telefonicznymi były złą złą tamtych czasów. To napięcie prawdopodobnie zabiło moją babcię. Miała zaledwie 63 lata. Wśród osób przybyłych na pogrzeb znalazła się jej koleżanka z Kresów, Kazimiera Miszczuk z domu Brasiuk, mieszkająca od lat powojennych w pobliskim Bieczu. To była jedyna osoba z tamtych rodzinnych stron, która towarzyszyła babci w chwili pożegnania.

Dziesięć lat później, także na serce, zmarł wujek Edward, najstarszy z rodzeństwa. W taki sposób śmierć zaczęła dobierać się do pierwszego powojennego pokolenia. Następnym był Janek, którego zabrała długoletnia choroba. Nie zdążył nacieszyć się ani emeryturą, ani nowym miejscem w Poznaniu, które wybrał, marząc o spokojnych latach. Potem



Dziadek Ludwik i babcia Marysia. Fotografie z lat 80. XX wieku.

przyszła kolej na Michała, który stał się ofiarą pandemii. Ostatni z braci, Leszek, odszedł pokonany przez chorobę nowotworową.

Na szczęście te smutne zdarzenia nie zamykają historii naszej rodziny. Żyje przecież moja mama Krystyna, która wciąż cieszy się urodą i dobrym zdrowiem. Być może swoją witalność zawdzięcza właśnie tym dobrym genom, które babcia Maria przywiozła kiedyś z Chlebowic.

My wszyscy z niej

Dziedzictwo babci i dziadka płynie w żyłach kolejnych generacji, nie tylko jako wspomnienie, ale jako kombinacja cech, które przekazywane są dalej. A kolejne gałęzie drzewa genealogicznego rozwijają się, dając życie nowym pokoleniom.

Przedstawmy zatem młodsze i najmłodsze pokolenie wywodzące się z tego dziedzictwa.

Zacznę od najstarszego z wnuków: **Mariusz**, syn wuja Janka, jest informatykiem. Po studiach zamieszkał w Zielonej Górze. Wychowują z żoną syna **Huberta**, który trenuje karate i ma talent do sztuk walki. Siostra Mariusza, **Agnieszka**, mieszka pod Poznaniem i wraz z mężem wychowuje dwie córki o cudnie brzmiących imionach – Gabrielę i Konstancję.



Krystyna Siczekowska,
z domu Serbinowska,
córka Marii. Rok 2017.

Marta i **Justyna** to w naszej rodzinie osoby o szczególnym znaczeniu, bo to właśnie one przejęły po swoim ojcu Edwardzie – najstarszym z braci mojej mamy – dom, który kiedyś należał do naszych dziadków, i w którym zaczęła się cała rodzinna historia. Marta pracuje w prywatnym przedsiębiorstwie związanym z leśnictwem, a Justyna - w banku. Justyna ma dwoje bardzo rezolutnych i zdolnych dzieci: **Michała** i **Basię**. Obie siostry dbają o rodzinny, polniemiecki dom z wielką troską.

Babcia na pewno byłaby dumna z tego, jak porządnie ten dom dziś wygląda i jak wciąż żyje w nim duch rodzinnych korzeni.

Teraz przejdźmy do **Marcina**, kolejnego wnuka moich dziadków. Syn Michała, mieszka wraz z żoną w Krośnie Odrzańskim. Pracuje tam, realizuje swoje pasje i cieszy się artystycznymi sukcesami swojego syna **Maxa**, wyjątkowo uzdolnionego studenta uczelni plastycznej.

Teraz czas wspomnieć o **Rafale**, moim młodszym bracie, który z pewnością odziedziczył po dziadkach gospodarność i pracowitość. Rafał mieszka niedaleko, w Czarnowicach, tam gdzie dorastaliśmy i gdzie mają dom nasi rodzice. Wraz z żoną zarządza dużym gospodarstwem oraz firmą transportową. Ma dwoje dzieci: syna **Pawła**, który prawdopodobnie przejmie po nim rodzinny biznes, oraz śliczną córkę **Hanię**, która także już teraz wykazuje zamiłowanie do przedsiębiorczości.

Na koniec wspomnę o sobie. **Anna** – kiedyś Barbara Anna, dziś już po prostu Anna – jestem córką Krystyny i Bogdana, siostrą Rafała. Mieszkam w Świebodzinie, dokąd przeprowadziłam się po ukończeniu studiów polonistycznych w Zielonej Górze. Pracuję jako polonistka i bibliotekarka w tutejszym liceum. Pisałam kiedyś wiersze, od lat tworzę recenzje literackie, a te wspomnienia są moim pierwszym krokiem poza formę krycznoliteracką.

Ten tekst jest moim ukłonem dla Babci i Dziadka, ale też próbą uporządkowania własnych myśli i odnalezienia korzeni, bo dobrze jest czuć się umocowanym w historii.

Dziękuję wszystkim, którzy pomogli mi w tej podróży – Mamie za bezcenne opowieści, Panu Józefowi za impuls do spisania tej historii oraz udostępnienie unikatowych źródeł, a także pasjonatce lokalnego dziedzictwa i dawnej mieszkance niemieckiego Starosiedla, Pani Loni Fürste, dzięki której mogłam poznać dokumenty związane z powojennymi losami Starosiedla oraz tłumaczce tych dokumentów, wielkiej miłośniczce historii rodzinnego miejsca – Pani Józefie Dolacie z domu Sikora. To jej ogromna praca bardzo rozświetliła moją świadomość na temat przeszłości naszego ukochanego Starosiedla.

Niezwykle istotne były dla mnie również współczesne opracowania podejmujące problematykę Kresów i Ziem Odzyskanych, które także poszerzyły moją perspektywę.

Wspomnę jeszcze o moich synach – **Szymonie** i **Michale** – niezwykle, jedynych w swoim rodzaju chłopcach, cichych obserwatorach mojej pracy. Obaj żyją w świecie autyzmu i zapewne ta historia nigdy do nich nie dotrze. Każdy dzień z nimi uczy mnie cierpliwości, czułości i innego spojrzenia na rzeczywistość. Są i będą dla mnie źródłem siły.

Na zakończenie mam serdeczną prośbę do czytelników „Spotkań Świrzan”. W dalszym ciągu poszukuję potomków mojej kresowej rodziny, z którymi więź się urwała. Jeżeli ktoś mógłby pomóc mi odnaleźć kuzynki mojej mamy, córki Michała Kulika (Kołyka) lub dotrzeć do grobu mojego

pradziadka Teodora na chlebowickim cmentarzu i przesłać zdjęcie, byłabym ogromnie wdzięczna. To dałoby mi nadzieję, że można jeszcze coś odkryć i lepiej zrozumieć losy naszych bliskich. W sprawie wszelkich informacji uprzejmie proszę o kontakt pod adresem: basia.dominiak@me.com

Stanisław Tarnawski

Drogiej Kuzynce Urszuli Sas Tarnawskiej
w Dniu Imienin

Astry

Astry dla Uli są prześliczne
Śnią o miłości o cudnej jesieni
Nad „Złotą Lipą” romantyczne
Wiersze układał wiersz Jesienin

Wrzesień spowily mgłą i łzami
Marzy o tkliwym śpiewie ptaków
Słowików w cieniu zielonych krzaków
Tęskniących za rodzinnymi stronami

Urszuli dam cudowne astry
Ojczyste kwiaty w uśmiechu słońca
Błękitne oczy niczym alabastry
A nasza przyjaźń nie ma końca

Strofy pochodzą ze zbioru „Wiersze” Jana i Stanisława Tarnawskich, ofiarowanego redakcji.

Red. Kilka wiadomości o Janczynie zebrał z książki i prasy Marcin Nievalda. Ukazały się na stronie www.genealogia.okiem/pl. Tytuł pochodzi od redakcji. Zachowano oryginalną pisownię.

Rok 1863 w Janczynie

Janczyn wieś, pow. Przemyślany, leży przy gościńcu rządowym przemyślańsko-brzeżańskim, nad potokiem dopływem pobliskiej Lipy przemyślańskiej także Zgniłą Lipą zwanej. Przestrzeń dworska 910 mórg, włościan 1646 mórg, ludność rzymskokatolicka 64 (parafia. Firlejów o 10 km odległości), ludność grekokatolicka 1120; parafia w miejscu, należy do dek, Narajów, dyecezyi lwowskiej; szkoła etatowa o 1 nauczycielu. Stacja pocztowa przy trakcie lwowsko-monastyrskim, między Przemyślanami a Narajowem. W latach 1842-1885 plebanem grekokatolickim był Antoni Topolnicki.

1863 - Otrzymujemy następującą korespondencję z pogranicza powiatu przemyślańskiego z dnia 14 maja: Ponieważ nasz powiat przeryna w kilku kierunkach gościniec murowany, mianowicie gościniec prowadzący do Złoczowa, Lwowa, Brzeżan i Stanisławowa, więc widywaliśmy często rozbitków z różnych oddziałów powstańczych prowadzonych pod eskortą. Powszechnie się skarżono na ostre z nimi obchodzenie się .. Wielu z nich nie dostało podwód, które na mocy uchwał rządowych należały im się ze względu na osłabienie lub dobrze nie wygojone rany.

W Meryszczowie powstaniec jeden, gdy się upominał o podwodę, został okrutnie zбитy przez jednego z tamtejszych włościan. I u nas nie zaniedbano poustawiać wart na granicy powiatu, teraz je wszakże już zciągnięto. Podobny posterunek stał na granicy powiatu brzeżańskiego, w Janczynie. Do warty ustawionej przy roгатce przyszedł pewien włościanin i zaczął robić swoje uwagi. Zapytany od strażnika, dla czego niewołany miesza się pomiędzy warty i rzrzedzi? odpowiedział: iż on „przyszedł na lustrację, bo nic u nas tak się nie dzieje, jak się dziać powinno”. Wykrzykiwał on dalej, że porządku wcale nie ma, że gdyby cesarz dał im (chłopom) moc, to dopieroby oni porządek zrobili.

Na zapytanie jakoby oni porządek robili, odpowiedział ów włościanin: „Najprzód napędzićby potrzeba żandarmów i becyrki na cztery wiatry, a potem dziedziców czyli raczej Lachów wyrznać, i dopiero wten-



Wycinek austriackiej mapy topograficznej Übersichtskarte von Mitteleuropa.

czas byłby spokój.” Do pogroźek „rizaty Lachiw“ nadtośmy się przyzwyczaili. Wykrzyki zaś, aby rozpedzić becyrki i żandarmów na cztery wiatry, są dla nas istną nowalią. Pogrożki podobne mają swe źródło w nieustannych agitacjach, które między ludem nurtują. Jest to dopiero rzucony siew, którego zaczyna kiełkować, lecz kto wie, czyli przy obudzeniu się zdrowego rozsądku nie obróci się przeciwko samym siewaczom, którzy przy wywrocie społecznego porządku w mętnej wodzie zamierzają ryby łowić.

1863 - 24. września, (Rewizja) Dnia 15. bm. wkroczyło do dworu w Janczynie, własności p. Ośmiałowskiego, kilku żandarmów i kilkunastu chłopów, w celu przedsiębrania rewizji. Nie wykazali się wprawdzie osobnym zleceniem, ale mieli jedynie jeneralne pełnomocnictwo (Offene Ordre) od pana Ebnera, naczelnika powiatowego z Przemyślan, przedsiębrać rewizje, gdzie tylko im się podoba.

W dworze zaaresztowano 5 młodych ludzi, między tymi nauczyciela domowego, Ludwika Ostrowskiego. Dodać należy, że aresztowani wykazali się, iż należą do służby bądź to dworskiej, bądź gospodarskiej. W roku 1869 Jan Bartoszewski był nauczyciel rzeczywistym, ludowym.

Z historii narodów możemy się nauczyć, że narody niczego nie nauczyły się z historii.

Georg Wilhelm Friedrich Hegel

Józef Wyspiański

Językowy *baniaczyk* (cz. III)

Słownictwo Świrzan nie było zjawiskiem szczególnym. Takim językiem posługiwali się mieszkańcy wielu miejscowości Małopolski Wschodniej, co też przed laty zostało przedstawione w publikacjach naukowych. Fundamentalną pracą o tej tematyce jest książka Zofii Kurzowej pt. „Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do 1939 r.” [1], w której autorka zamieściła blisko tysiąc haseł dialektu. Ale nie wszystkie.

Przez około 20 lat spisywałem słowa i zwroty, używane przez osoby z mojej najbliższej rodziny, krewnych i znajomych [2]. Wszyscy pochodzili ze Świrza (pow. Przemyślany, woj. Tarnopol) – miejscowości liczącej w czasach pokoju ok. 3000 mieszkańców, z czego 80% stanowili Polacy, a resztę Rusini i Żydzi; było też kilkadziesiąt rodzin mieszanych, polsko-rusińskich. I takim „mieszanym” językiem mówili świrzanie, czerpiąc ze słownictwa wszystkich nacji, ze wschodnim akcentem. Zapewne niewiele się różnił od innych gwar, i tak jak one, składał się z wyrazów ogólnopolskich, staropolszczyzny, gwaryzmów, zapożyczeń rusińskich (chachłackich) i austriackich [3].

Początkowo wykaz zawierał około 200 zebranych przeze mnie słów i wyrażen. W dokładnym objaśnianiu znaczenia niektórych haseł pomogła mi lektura pracy Z. Kurzowej, artykuł A. Kosteckiej-Sadowej [4] z 2018 r., a także dwa opracowania A. Bożyńskiej, umieszczone przed laty na łamach „Spotkań Świrzan” [5]. Te źródła podają przy haśle: w nawiasie zwykłym umieściłem numer strony, na której to wyjaśnienie występuje w słowniku i aneksie opracowania Z. Kurzowej, natomiast w nawiasie kwadratowym podałem numer strony z artykułu A. Kosteckiej-Sadowej. Przy kilku wyrazach zaznaczyłem pochodzenie wołoskie, będących reliktem mowy Wołochów, pierwotnych mieszkańców Świrza.

Do zestawienia dołączyłem także 21 zwrotów używanych przez świrzan, na które natrafiłem niejako przy okazji mojej pracy – nie mogę jednak wskazać źródła pochodzenia. Może były to inne osoby lub lektura książek bądź artykułów. Do tych słów należą: Bajdurzyć, bajerować, bandzioch, ciaćkać się, fasować, forszpan, hałastra, hyckać, kidać, kimać,

korowaj, kulesza, najsamprzód, pacan, szczeznąć, strachoput, szpanować, sztryhulkać, tłumić się, wyrwać, zaputać się.

Zestawienie nie jest zamknięte. Słownictwo naszych Przodków na pewno było obszerniejsze i liczę na to, że Czytelnicy biuletynu zechcą uzupełnić ten zbiór słowami, które wciąż zachowują w pamięci.

Pranik – gruba drewniana łopatką z krótkim trzonkiem do prania na kamieniu [str. 110].

Proch – kurz (str. 220).

Prymcha – dziewczyna „postrzelona”.

Przyskarżyć – zaskarżyć, donieść.

Putnia – wiadro (str. 222).

Pywnica – piwnica.

Radyrka – gumka do ścierania napisów (rysunku) w ołówku (str. 223).

Rajcować – gadać, rozprawiać, paplać (str. 223).

Rapaty – szorstki (str. 223).

Rejwach – rozgardiasz, zamieszanie, zgiełk (str. 224).

Robaczliwy – robaczywy (str. 225).

Roztaszlować się – zająć miejsce (np. na ławce) w wielkości większej niż potrzeba.

Rubel – drąg do przyciskania siana na drabiniastym wozie.

Ryćkać – ryć, kopać, rozgrzebywać z odcieniem ujemnym (str. 227).

Rynka – niski, płaski ronderek z rączką lub dwoma uszkami (str. 227).

Rypać się – tłuc się, często wychodzić z domu (str. 228).

Sakum-pakum – szybkie pakowanie się przed podróżą, byle jak, na łapucapu.

Sapka – motyka (str. 491).

Siedzieć kamieniem – czekać bez możliwości zmiany miejsca.

Skisły – skwaśniałe mleko, wino (str. 231).

Smarowóz – brudas (str. 231).

Snowyda – osoba pojawiająca się niespodziewanie w różnych miejscach.

Soroczka – koszula (str. 492).

Studzinina, studzienina – galaretka z mięsem (str. 233).

Szalowe spódnice – spódnice z wełny.

Szaławila – osoba lekkomyślna i prowadząca beztroski tryb życia.

Szandar – żandarm, policjant (str. 494).

Szczondraki – chodzenie po wsi z życzeniami świątecznie-noworocznymi.

Szczybać – strącać z drzewa jabłka, orzechy przy pomocy rzuconego patyka (str. 494).

Szczypka – drobne kawałki drzew służące rozpalaniu w piecu lub kuchni (str. 236).

Szepetliwy, szepetławy – osoba szepleniąca, mówiąca niewyraźnie (str. 236).

Szkaralupy – skorupy np. od jajek.

Szmajger, szmajgeles – przezwisko Żyda (str. 237).

Szmarkle – smarki.

Sznurówka – sznurowadło, tasiemka do sznurowania (str. 238).

Szparować – oszczędzać (str. 239).

Sztramować się, sztafirować się – wystroić się przesadnie.

Sztreka – nasyp kolejowy, tor kolejowy [6]. (*Słownik Języka Polskiego*)

Sztylwaga – orczyk do przyczepienia dwóch orczyków do wozu jednokonnego, orczyca. (*Słownik Języka Polskiego*).

Szwytko – szybko (str. 244).

Ślipunder – niedowidzący (str. 245).

Świrgotać – mówić dużo cienkim głosem.

Świrkowaty – pomyłony (str. 246).

Tałapać się – pluskać się, chlapać się w wodzie (str. 247).

Tałować – ugniatać siano (słomę, plewę) w zbiorniku.

Tarabanić – iść ciężko, niezdarnie, hałasować (str. 247).

Tarachkać – stukać, pukać (str. 498).

Tarameśli - niepotrzebne rzeczy.

Terebuchy – niedojrzałe owoce z drzew.

Trajlować – gadać bez przerwy (str. 436).

Trembulka, trybulka – szczypiorek (str. 250).

Tuckać – lekko uderzać, dotykać.

Ubrywać – dostać lanie.

Wargaty – osoba z wydatnymi wargami. (M. Arct, *Słownik ilustrowany języka polskiego*)

Wazonek – doniczka (str. 254).

Wcinać – jeść (str. 255).

Wtryniać – jeść dużo i łapczywie (str. 256).

Wywiórka – wiewiórka.

Zabihnąć się – przysięgnąć się (str. 258).

Zabudźko – zapominalski (str. 258).

Zachachmęcić, zachachmanić – ukraść (str. 258).

Zafasować – dostać w twarz (str. 159).

Zagudzać – zaplątać, zasupłać (str. 259).

Zahata – ogata, słomiane ocieplenie domu [2, 110].

Zaiwanić – ukraść (str. 260).

Zapaćkać – zabrudzić (twarz), zawalać (str. 261).

Zapaska – obszerny fartuch wykonany z wełny, noszony dawniej na spódnicy przez wiejskie kobiety, wiązany z tyłu w pasie (zapasywany). Zapaska chroniła spódnicę przed zniszczeniem i zabrudzeniem podczas codziennych czynności. (*Słownik języka polskiego*)

Zapatłany – nieuczesany.

Zaportek – zbuk [str. 110].

Zasuwać – iść, jechać szybko (str. 261).

Zaścielić – rozkładać pościel do spania (str. 244).

Zatarabanić – zaciągnąć jakąś rzecz (str. 247).

Zatylnik – poprzeczna deska zamykająca z tyłu drewnianą skrzynię wozu konnego. (*Słownik Języka Polskiego*)

Zbytki – nieszkodliwe żarty.

Zelepuchy – niedojrzałe owoce (str. 263).

Zolić – bić (str. 264).

Zryćkać – ryć, kopać, rozkopywać (str. 227).

Zwurdzić się – ścięcie się mleka podczas gotowania i powstanie sera (str. 264). Wyraz pochodzenia wołoskiego.

Żenić się – tłuc się, hałasować (str. 265).

Żmenie – garście, dłonie (str. 265).

[1] Zofia Kurzowa, *Polszczyzna Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich do 1939 r.* PWN Warszawa-Kraków 1985.

[2] Bardzo dziękuję p. Marii Majerczyk za pomoc w zbieraniu wyrazów gwary świrskiej.

[3] http://www.milno.pl/readarticle/gwara_obszaru_milenskiego

[4] Anna Kostecka-Sadowa, *Leksyka gwary polskiej przesiedleńców z Trembowli i Wierzbowiec na Podolu*. Instytut Języka Polskiego PAN w Krakowie. Prace językoznawcze XX/2

[5] Aleksandra Bożyńska, *Wołosi w Świrzu*. „Spotkania Świrzan” nr 71 str. 14 i nr 72, str. 26.

[6] Wyraz prawdopodobnie przejęty przez Polaków w Gierałtowie od autochtonów. Nasyp z torem kolejowym graniczy z wioską na prawie całej jej długości.

Red. Red. Na stronie Kujawsko-Pomorskiej Biblioteki Cyfrowej znajduje się książka Jana Ogińskiego Kotrymowicza pt. „Tragedia w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta”, wydana w Krakowie w 1908 r. Z obszernego tomu wybrano dwa ostatnie rozdziały, istotne w tej historii. Zachowano oryginalną pisownię.

Tragedia w Glinianach. Legenda historyczna z XIV wieku na starych szpargałach oparta (cz. IV)

Rozdział XIX. Siedmio-głowa hydra.

Następnego dnia, po wykonaniu krwawego wyroku, dano znać zgromadzonym senatorom, że król jegomość w asystencyi tysiąca Węgrów i cztero tysięcy świty polskiego rycerstwa, zbliża się od Gołogór ku Glinianom. Senatorowie natychmiast zasiedli w Izbie Radnej, ale pierwiej z pośród siebie wyprawili liczny poczet na powitanie króla. Wszyscy wydelegowani przybrali się w najkosztowniejsze szaty i w otoczeniu świetnych orszaków, wyjechali na spotkanie swego monarchy. Orszak króla Ludwika, złożony z Węgrów, zniknął zalany falami polskiej szlachty; cichość poważna panowała w powietrzu; nie słyhać było żadnych okrzyków na cześć pana, nigdzie nie objawił się ten entuzjazm, do którego Ludwik przywykł na Węgrzech; kilka zaledwie *Eljen!* [*Długie życie!*] rozdarło powietrze, ale samo brzmienie tego słowa dowodziło, że wydały go piersi nie polskie.

Senatorowie wysłani do czynienia honorów, zbliżywszy się do Ludwika, obnażyli na krótko głowy i wygłosili mowę, zapraszając króla jegomości, żeby raczył przybyć do koła senatorskiego do Glinian, dla obrady wspólnej nad sprawami Rzeczypospolitej.

Ton mowy był uprzejmy, ale suchy i przemowa w brew zwyczajom ówczesnym krótka. Król był widocznie zdziwiony i teraz zaczął przypuszczać, że sprawa oddania Węgrom ziem ruskich na sejmie, nie pójdzie tak gładko, jak dotąd sądził. Nie okazał jednak żadnego niezadowolenia z tego zimnego przyjęcia i najłaskawiej przyrzekł zaszczycić koło senatorskie królewskim swoim majestatem.

Połączone orszaki węgierskie z polskimi wspólnie wyruszyły do

Glinian, zaledwie przeciskając się pomiędzy tłumami nagromadzonej pochmurnej szlachty. Król jechał zamyślony, gdy jeden z magnatów węgierskich, jadących obok niego, nachylił się ku niemu i cichym głosem wyszeptał:

– Najjaśniejszy panie, tu coś niezwykłego się knuje; z senatorów, którzy byli w Budzynie, przy boku waszej królewskiej mości, a na których najwięcej można było liczyć, nie widzę ani jednego. Co to wszystko znaczy?

Król Ludwik zatoczył wzrokiem naokoło; niespokojność odbiła się na jego twarzy; rzeczywiście nie dostrzegł ani jednego z panów, przychylnych sobie, którzy mu dali swoje podpisy.

– Gdzie są senatorowie, których do was wczoraj wyprawilem? – zapytał, zwracając się do jadącego niedaleko niego starosty wielkopolskiego Wincentego Granowskiego.

– Zobaczysz ich wasza królewska mość w Glinianach.

Król milczeniem pokrył tę odpowiedź, lecz obracając się do towarzyszącego sobie magnata węgierskiego, który pierwszy swoim podejrzeniem zaniepokoił go, rzekł:

– Nie widzę także kanclerza Zawiszy, co się z nim dzieje?

– Kanclerz dzisiaj najniespodziewaniej zachorował w Gołogórach i tam pozostał ze swoim orszakiem, ma jednak pośpieszyć za waszą królewską mością, skoro tylko wydobrzeje.

Król Ludwik spojrział zdziwiony na mówiącego, jak by pragnął przeniknąć prawdziwą myśl, ukrywającą się w tych słowach.

– Mów wyraźnie; co to wszystko znaczy? – zawołał niecierpliwie.

– Ja myślę, że kanclerz nie jest pewny przeprowadzenia swoich planów i że po prostu obawia się szlachty.

Król nic nie odrzekł, zmarszczył tylko czoło jeszcze groźniej i skierował konia w dalszą drogę. Wyciągnięte szpalery szlachty, ze wszystkich obszernych okolic Rzeczypospolitej, stojąc na koniach po obydwóch stronach głównej drogi, witały go odkryciem głowy; ale okrzyki tak były rzadkie, że nie można te raz już było wątpić, iż szlachta jest nieprzyjaźnie usposobiona i twardy z nią będzie orzech do zgryzienia.

Ta udana choroba Zawiszy, który widocznie nie miał odwagi spotkać się z radą sejmującą, zaniepokoiła króla i teraz dopiero zaczął przekonywać się, że tych kilkunastu panów polskich, których udało mu się przeciągnąć na swoją stronę, nie poprowadzą innych swoim przykładem i nie stanowią potężnego stronnictwa, lecz działali tylko na własną rękę.

Dostrzegł on, że żelazo nie jest dosyć rozgrzane i nie da się kuć podług woli. Żałował teraz, że udał się na ten sejm tak niespodzianie zwołany do Glinian, a nadewszystko niezadowolony był z siebie, że wybrał się z tak małym pocztem rycerstwa węgierskiego, widział bowiem, że utonął ze swoją eskortą pośród pięćdziesięciu tysięcy szlachty, jak motyl w mrowisku, w które wpadnie, ale nie czas już było się cofać. Teraz nawet zaczął przypuszczać, że powołana na sejm szlachta stawi silny opór odłączeniu ziem ruskich, że zechce się uporczywie targować o przywileje i tym sposobem będzie chciała uzyskać hojną zapłatę za to ustępstwo. Do ustępstw był

gotów, nic go one nie kosztowały, byle nie były zbyt wielkie; zaczął jednak wątpić, że tanim sposobem okupi spełnienie swoich celów.

Tak rozmyślając, znalazł się nareszcie w Glinianach przed Izbą Radną. Niechętnie zsiadł z konia i dumnie przekroczył próg szopy, od której drzwi wielkie jak u stodoły, czekały go otwarte. Naprzeciw wejścia, na wzniesieniu, przygotowany był tron, okryty purpurą, dla króla; nieopodal tronu osłonięta czerwoną oponą jakaś niewyraźna grupa stanowiła tajemniczą zagadkę. Król Ludwik przeszedł obojętnie koło niej, zaledwie rzuciwszy na nią okiem i zasiadł na przygotowanym tronie. Izbę radną zastał już zatłoczoną senatorami, w poważnym nastroju; wszyscy powstali za jego wejściem.

Wówczas chrobry marszałek Granowski, opierając się na swojej drewnianej nodze, zbliżył się do tronu. Złożył niski pokłon królowi i odezwał się w te słowa, wśród grobowej ciszy, jaka zapanowała w zgromadzeniu:

– Miłościwy królu i panie nasz! Naród polski wierny był zawsze i jest panom swoim, po Bożej łasce i po dusznem zbawieniu swoim, ni-



Chłop polski przy pracy, XVIII wiek.

Źródło: <https://onebid.pl/pl/grafika>

czego więcej nie pragnął, prócz wolności miłej i pożytku dobra Rzeczypospolitej. Z bólem serca teraz widzimy niełaskę waszej królewskiej mości i odłączenie swoich interesów od dobra tej żalostnej Rzeczypospolitej naszej, a żeśmy żadnej przyczyny nie dali do grzechu, tylko pragnęliśmy wiernie stać przy prawach naszych od wieków uchwalonych, przypomnieć więc musimy, żeś nam je, królu, zaprzysiągł na świętą ewangelię, bo tu w Polsce matka waszej królewskiej mości żywot swój wzięła, a w tobie płynie prześwietna krew starych naszych panów Chrobrych i Sprawiedliwych. Słuszna więc, abys nam, wiernym poddanym swoim, narodu polskiego ludziom, miłościwym panem i dobrodziejem zostawać raczył, gdyżes jest *os de ossibus nostris* [kość z naszych kości]. Otóż za takim powinowactwem związku, już cała Rzeczpospolita nie pomалу wielkim jest strapiona żalem, że Wasza królewska mość wzgardzasz imieniem polskiem i obsadzasz urzędy cudzoziemcami. Jednak my w tej żalości naszej i uciśnieniu, mając wielką miłość dla krwi panów swoich i pragnąc łaski waszej królewskiej mości pana swego miłościwego, aż do tego czasu cierpimy cudzoziemców, których wasza królewska mość z ujmą naszych godności, wolności i dobra Rzeczypospolitej nam zostawił był.

Uniżenie więc prosimy o oddalenie cudzoziemców z urzędu, o powrót nam korony naszej i berła wywiezionych do Węgier, niemniej o wymierzanie sprawiedliwości i poszanowanie praw i statutów polskich, które są filarami tej Rzeczypospolitej, aby w całości zachowane i do egzekucji swojej przychodzić mogły, albowiem prawa krajowe przede wszystkim i całość królestw a w nierozdzielności swojej utrzymane być winny. Uskarżamy się też żalostnie na bracią naszą, którzy nad wolę i radę wszechstanów koronnych do Budzynia zjechali się byli i tam z waszą królewską mością o państwach koronnych jakieś kontrakta *nomine omnium* [w imieniu wszystkich] stanowili, co już się stało było przeciwko sumieniu i na szkodę Rzeczypospolitej, w czym sobie pozwolili. Za tę samowolę słuszną też odnieśli zapłatę od rycerstwa polskiego, dla przykładu na przyszłe wieki. Oto cielska ich leżą pod nogami waszej królewskiej mości, aby się potem nie ważył żaden z nas frymarków dobrem Rzeczypospolitej Królestwa Polskiego *privata autoritate* [przez władzę prywatną] odprawić.

Bladość rozlała się po twarzy króla.

Marszałek, przerwawszy mowę, skinął na pachołków, którzy w tej chwili podnieśli zasłonę czerwoną, okrywającą grupę ustawioną naprzeciw tronu. Co za straszny widok przedstawił się oczom króla i senatorów!

Siedm głów odciętych od kadłubów, białych śmiertelną bladością, z sinemi usty, z krasnem i obrębkam i krwi na szyjach wychyliło się z pod zasłony. Trupy te zdawały się, szeroko otworzonymi oczami, z wyrazem przeżalenia, jaki zastygł na nich w ostatniej chwili życia, spoglądać z wyrzutem na króla, sprawcę ich niedoli.

Król Ludwik, jakkolwiek z natury śmiały, zdrzął i położył rękę na szabli. Obrzucił wzrokiem po całym zgromadzeniu, na wszystkich twarzach wyczytał powagę niesłychaną, smutek przejmujący duszę, ale i niezłomne przekonanie, że to, co się stało, stać się musiało.

Grobowe milczenie panowało dokoła. Marszałek podniósł rękę do góry na znak, że chce dalej mówić; król przystroił twarz w wyraz obojętności, a Rafał Granowski tak kończył:

– Więc gdy wasza królewska mość obiecałeś Republice opiekę swoją, prosimy tedy pokornie, abyś nam tego nie brał, czegoś Polsce nigdy nie dał, a co biegunowie nasi i prywatnicy w Budzynie podpisali i przypłacili za to żywotami, my przeciw takim kontraktom protestujemy i nic o nich wiedzieć nie chcemy. Postanawiamy także i prosimy waszą królewską mość o aprobatę, iż odtąd na wszelkich sejmach krajowych, jedno-myślnością tylko wszystkich decydowane będą wszelkie sprawy, a każdemu z nas, chociażby najnędnieszemu, służyć będzie liberum veto, jeżeli co uzna za szkodliwe dla dobra Rzeczypospolitej. Dalej żądamy, żebyś wasza królewska mość, przywileje wszystkie nasze szlacheckie potwierdził i nowemi nas obdarzył, a także, żeby każdy szlachcic u siebie w domu stanowił praw a swoim poddanym, bez mieszania się kogokolwiek do tych domowych spraw, wówczas będzie zgoda pomiędzy wszystkim i dziatkami tej ziemi.

Marszałek, dokończywszy tej mowy, złożył głęboki ukłon królowi i zasiadł na swoim miejscu. Król ze zdumieniem wysłuchał tej całej mowy; do podobnych głosów w Węgrzech nie był wcale przyzwyczajony, był przygotowany na to, że szlachta zażąda rozmaitych przywilejów, ale sądził, że to będzie tylko zapłata z jego strony, za ich aprobatę na odłączenie ziem ruskich od korony. Tymczasem sprawy przybrały zupełnie inny kierunek, o cesyach nikt nie wspomniał ani słowa; przeciwnie potępiono je, krwawo ukarano idei tej propagatorów i naigrawając się, rzucono ich łby pod nogi królowi; a zjazd z najoddalniejszych ziem do Glinian pięćdziesięciu tysięcy szlachty, nie mógł być lekceważony.

Król zawiesił na chwilę posiedzenie i wyszedł ze swoim sekretarzem, Jarockim, do przyległej izby, w której dosyć długo zastanawiając

się i naradzając, taką przez usta jego dał odpowiedź senatorom, sam nie pokazując się już w Izbie Radnej.

– Jakkolwiek najjaśniejszy król węgierski i polski Ludwik (oby Bóg dał mu jak najdłuższe życie i zdrowie) niepomahał żałośny jest z pobicia tych senatorów polskich, którzy służyli jego królewskiej mości i z nim z Budzynia do Polski, ojczyzny swojej przyjechali; jednakże, kiedy źle uczynili, traktując na własną rękę o sprawach państwa i przez senat potępieni zostali, snąć, że nie mogło być inaczej i król jegomość nie ma tego za złe radzie zgromadzonych senatorów. Co się tyczy frymarków węgierskich z Polską, to król jegomość sądził, że one wyjdą na pożytek obu narodów, któremi z woli najwyższego Boga władza, ale kiedy panowie rada na to się nie godzą, to król jegomość przez przywiązanie swoje do narodu polskiego od nich odstępuje i nie chce wiedzieć o nich. Cudzoziemców i zarządców z sądów i administracyi kraju oddalić deklaruje się i oddać sprawy kraju w ręce szlachty polskiej, dobrze zasłużonej, przyrzeka. A co się tyczy sprawiedliwości w sądach, na wymiar której obywatele polscy narzekają, to król obiecuje przyjechać do Krakowa i cały miesiąc tam pozostanie, żeby ją każdemu wymierzyć, warując sobie, aby panowie szlachta, co raz przyrzekli, nie cofali tego i córkę jego, Maryę, na tron polski posadzili, powołali i opatrunek jej przyzwoity obmyślili. Ona zaś przybywszy do Polski, przywiezie z sobą koronę i berło i inne insygnia królewskie, które dla bezpieczniejszego przechowania wywieziono do Węgier. Gdyby jednak też córka jego Marya za mąż, za Zygmunta, syna cesarza wyszła, w tedy na młodszą jej siostrę te wszystkie prawa by przeszły.

W nagrodę za wierność, przywiązanie i przychyłność do jego osoby, uwalnia król szlachtę od wszelkich danin, od wszelkich posług, z wyjątkiem dwóch groszy monety krajowej z łanu, którą co rok na święty Marcin, w znak uznania zwierzchnictwa królowi i następcom jego płacić są obowiązani. Król, podróżując przez kraje polskie, obiecuje nie uciążać przejazdem swoim szlachty, ale o własnym koszcie siebie i świętę swoją utrzymywać. Na uchwalone przywileje szlachty względem poddanych chłopów i stanowanie im powinności, król zgadza się i pozwala, oddając ich ojcowskiej opiece dolę ludu wiejskiego, podług sumienia. Nadto jego królewska mość nie ma nic przeciwko temu, żeby wszelkie uchwały na sejmach decydowane były jednomyślnością, a każdemu ze szlachty sejmującej, chociażby najbiedniejszemu, służy prawo *liberum veto* przeciw uchwale, którą uważa za złą i szkodliwą przywilejom szlachty.

Po wysłuchaniu tej decyzji królewskiej, panowie senatorowie i ry-

cerstwo udali się gromadnie do ucałowania ręki pańskiej na znak miłości i pokoju. Król głęboko zamyślony opuścił Gliniany tego samego dnia i udał się do Węgier z powrotem, obsypawszy panów i szlachtę tyłoma przywilejami, że były dostateczne do wykopania mogiły dla Rzeczypospolitej.

* * * * *

Kilka słów wypada tutaj dodać o losach córek Kazimierza. Smutne dzieje Anny znane nam są na dworze hrabiego Cylejskiego, człowieka ohydnych obyczajów, brutala i pijaka. Była ona męczennicą dopóki śmierć jego nie wyzwoliła jej z tego przybytku zbrodni i rozpusty i nie pozwoliła jej pójść za skłonnością serca, które wraz z ręką oddała hrabiemu Deakowi. Lecz za to losy Jadwigi historia pokrywa zupełnym milczeniem, w starym jednak rękopiśmie z XVII wieku, z którego czerpał wiele szczegółów, jest wzmianka, że Romer wkrótce po zaślubieniu Jadwigi zginął w jakiejś potrzebie, zostawiając małego syna, od którego miał się rozrodzić zacy dom Romerów, dotąd żyjący na Litwie, w którego potomkach ma płynąć po kądzieli krew Piastów. Być to może, ale dowodów nie mam – może familia ta, odznaczająca się zawsze wysoкими cnotami, posiada jakie dane, mogące rozjaśnić tę sprawę?

Red. Wspomnienia Janiny Wietrzny (z domu Łukasziewicz) zostały zapisane w roku 1978 na taśmie magnetofonowej i niedawno przekazane przez Hannę Wietrzny do redakcji „Spotkań Świrzan”, gdzie przetworzono je na opis. O powojennych losach ks. Tadeusza Malskiego podano w zeszycie nr 118, str. 29.

Janina Wietrzny

Rodzina Malskich w Świrzu

Malski był sekretarzem magistratu w Świrzu [1]. Strasznie mnie lubił. Ile razy wracał z pola, bo mieliśmy jakiś kawałek naprzeciw naszego domu, to brał mnie na ręce i szczecina swoją, jakoś mu tak szybko odrastały włosy na brodzie, drapał mnie po twarzy, a ja wrzeszczałem z całej siły, albo przytulałam się do jego szyi i ścisiskałam.



Ks. Tadeusz Malski (pierwszy z lewej) i ks. Stanisław Kwiatkowski, proboszcz świrski, i w otoczeniu mieszkańców Niedzielisk, lato 1943 r. Dzieci: Kazimiera Tereszczyn i Zofia Wojtków. Stoją (od lewej): Franciszek Wojtków, Paulina Wojtków, Maria Wojtków i Ignacy Wojtków.

Razem z nim musiała zawsze iść jego suczka - Oki - mały piesek, taki jasno-beżowy ze śliczną główką i dużymi czarnymi oczkami. Za jakiś czas, Malski zachorował, dostał raka i umarł. Gdy leżał w trumnie psina leżała cały czas na jego piersiach, a choć ją zamknęli w domu, i pies nie wiedział, gdzie został pochowany jego pan, to jednak znalazł jego grób. Choć go zabierali raz po raz do domu, nic nie

jadł, nic nie pił, i w końcu na jego grobie padł.

Malski miał trzech synów. Najstarszy był profesorem gimnazjalnym, historykiem w Przemyślu. Nie pamiętam jego imienia. Uczył mego męża historii, który później też był historykiem. Drugi, Tadeusz, był księdzem, a trzeci radcą w ministerstwie komunikacji. Miał też dwie córki, bliźniaczki. Jedna nazywała się Zosia, imienia drugiej nie pamiętam. Były bardzo przywiązane do moich rodziców (Marii i Stanisława Łukaszewiczów) i do końca, aż do śmierci mojej mamy, Zosia zawsze pisała do niej i boleśnie odczuła jej śmierć.

Najśmieszniejszy z nich był ksiądz Tadzio, który jakoś nie wydawał mi się za poważny. To co robił i to co mówił i jak się zachowywał, to wyglądało jakby był dziwaczny. W czasie pierwszej wojny światowej przybył do nas, bo gdzieś tam na Kresach był księdzem i uciekł, jak cała masa ludzi z tamtych stron.

Opowiadał nam rozmaite niby zabawne zdarzenia. Między innymi przekazał o wiejskim chłopaku, którego wzięto do wojska, gdzie miał się nauczyć jednego zdania o cesarzu austrowęgierskim: Jeho Cesarska-Królewska-Apostolska Mości, Franciszek Józef I. Po niemiecku brzmiało to: *Zaine kaizerliche-kenigsliche-apostolisze, Franc Jozef erste*. A chłopak po dłuższej nauce powtarzał: Jeho kałybały namastyły Franc Jozefa w areście. Inny chłopak tak się nauczył: Jeho cesarska-apostolska psia mać, najśmieszniejszy pan, Franc Jozef perwyj.

Ksiądz był okropnym tchórzem. Jak brałyśmy do ręki nie nabity karabin i udawaliśmy, że strzelamy, to włożył pod stół i prosił: weź ten karabin, weź ten karabin, on naprawdę może wystrzelić.

Z księdzem straciliśmy kontakt, gdy wyjechaliśmy do poznańskiego i nie wiem, co się z nim stało. Jednego razu, gdy przyjechałam do Świrza, żeby odwiedzić znajomych, zastałam tylko starszą panią Malską i pocziwą ciotkę Marynię, która opiekowała się kościołem. Nam wcześniej szła sukienki.

Gdy wybuchła I wojna światowa, wszyscy, całe grono nauczycielskie, księża, zebrali się u nas i komentowali powstałą sytuację - co z tego wyniknie. A tatuś powiedział wtedy: ja wam powiadam, że z tej wojny będzie Polska. I w tej chwili zaczęły bić dzwony kościelne. Tak, że wszystkim stanęły łzy w oczach, a mnie przeszły ciarki i dostałam gęziej skórki [2].

Wtedy był taki nastrój, jakby już Polska była, choć na nią trzeba było jeszcze parę lat poczekać. Tak się szczęśliwie złożyło, że wszystkie trzy mocarstwa zadeklarowały odstąpienie terenów, które wcześniej zabrały. Później trwały jeszcze walki, aż wreszcie nastąpiło dwadzieścia lat niepodległości, nim wybuchła II wojna światowa.

[1] W dokumentach z byłego archiwum parafialnego w Świrzu nazwisko Malski występuje w dwóch miejscach *Spisu rodzin* (Status animarum). Pierwszy raz na str. 15, gdzie Ignacy i Jan Malscy wpisani są do budynku posterunku żandarmerii. Można to rozumieć, że prawdopodobnie Jan był świrskim żandarmem.

W innym miejscu (str. 277) *Spisu rodzin* występuje Maria Malska (z domu Tur), wdowa po Ludwiku ur. 22.03.1831 r., odźwiernym w kościele świrskim. Z wykazu dzieci ochrzczonych w parafii wynika, że w rodzinie Marii i Ludwika Malskich urodziło się w Świrzu ośmioro dzieci. Na stronie tej znajdują się również dane rodziny Ignacego Malskiego, o którym opowiada Janina Wietrzny, jej chrzestny. Urodził się 14.07.1853 roku i ożenił się 30.01.1879 r. z Józefą Jachnicką ur. 19.03.1858 r. Zawarcie ślubu odbyło się zapewne w Budzanowie, pow. Trembowła, gdzie też przyszło na świat trzech chłopców tego małżeństwa: Adam ur. 6.12.1879 r., Tadeusz ur. 14.11.1887 r. i Kazimierz-uro-

dzony 4.02.1890 r.

Po przybyciu do Świrza, Ignacy był pisarzem gminnym. Jego rodzina powiększyła się o dwie dziewczynki: Stanisławę ur. 20.04.1892 r. i Zofię ur. 10.05.1894 r. Nie były to bliźniaczki, jak wspomina Janina Wietrzny. Trzy lata później (2.05.1897 r.) w lwowskim szpitalu umiera żona Ignacego. Konieczność opieki nad dziećmi wymusza na Ignacym ponowny ożenek. Poślubia 25.10.1898 r. Bronisławę Chowaniec ur. 2.09.1851 roku pochodzącą ze Skalatu.

Pod koniec XVIII w. Ignacy Malski był właścicielem dóbr w Tuczej. Nazwisko Malski występowało w Świrzu dość wcześnie, bo Ignacy i Agnieszka Ziółkowska są zapisani w 1811 r. jako rodzice Laurentego (Wawrzyńca). Dop. J.W.

[2] Ks. T. Malski przebywał chwilowo w Świrzu 24.07.1922 r.; jego nazwisko widnieje przy chrzcie dziecka. Dop. J.W.

Red. Na stronie www.miasta-galicji.pl/assets/materiały/tom_48_sz.pdf ukazało się kolejne opracowanie z cyklu *Galiczyjskie miasta i miasteczka w józefińskim katastrze gruntowym*, tom XLVIII. Zawiera dane związane z Dunajowem, Firlejowem i Rohatynem w opracowaniu Tomasza Kargola. To z nich zostały wybrane niektóre informacje (z roku 1787) o Dunajowie. Pominięto nazwiska właścicieli gruntów. Zachowano oryginalną pisownię.

Dunajów w józefińskim katastrze gruntowym (cz. III)

Plac miejscowy, czyli „osiadłość” Dunajowa, obejmował ogrody przy obejściach, które dzieliły się na dwie grupy: lepsze i „podlejsze”. Zbiory z ogrodów porównywano do najlepszych sianożęci, a zbiór siana szacowano na 16 cetnarów siana słodkiego z 1 morgi, natomiast potrawu na 5 cetnarów z 1 morgi. Zbiory z ogrodów „podlejszych”, położonych na terenach podmokłych („błotnych”), szacowano na 10 cetnarów siana słodkiego i 3 cetnary potrawu. Znajdowało się tu też pastwisko, na którym wypasano bydło. Obecne były „zagumienka”, uznane za grunty z najlepszą glebą. Nie były one tłokowane; najczęściej w pierwszym roku wysiewano żyto, w drugim jęczmień, a w trzecim sumieszkę (mieszankę zbóż). Kolejną grupą działek były ogrody większe niż 1 morga, zasiewane tak samo jak „zagumienka”. Wydajność szacowano na 4 ziarna żyta, 4,5 jęczmienia i 3,5 sumieszki z 1 wysianego.

Niwa II „Osypana czyli Plebańszczyzna” obejmowała pola gromadzkie i proboszczowskie o ziemi „czarno szarawej” (numery działek

515-632). Grunty te nie były dziedziczne mieszczańskie, lecz skarbowe rozdane „na osyp”. Nie były one tłokowane, a po 4 latach wymagały nawożenia. W pierwszym roku wysiewano żyto, w drugim pszenicę i jęczmień, w trzecim owies lub hreczkę. Wydajność z 1 wysianego ziarna szacowano na 3 ziarna żyta, $2\frac{3}{4}$ pszenicy, 3,5 jęczmienia, $2\frac{3}{4}$ owsa. Kolejną grupę pól tworzyły działki o numerach 634-727, ciągnące się do granicy z Wicyniem, o glebie „czarno szarej” i „moczarowatej”, obsiewane hreczką i owsem. Dalej (numery topograficzne 728-810) znajdowały się pola gromadzkie, tłokowane (ugorowane) co 3 lata. W pierwszym roku zasiewano na nich hreczkę, a w drugim i trzecim owies. Wydajność szacowano na 4 ziarna hreczki oraz $3\frac{1}{4}$ i $2\frac{3}{4}$ ziarna owsa z 1 wysianego. Od numeru topograficznego 811 do 932 ciągnęły się pola gromadzkie, ugorowane co 3 lata. W pierwszym roku wysiewano na nich żyto, w drugim pszenicę i jęczmień, a w trzecim owies. Wydajność szacowano na $3\frac{1}{4}$ ziarna żyta, $3\frac{1}{4}$ pszenicy, 3,5 jęczmienia oraz 3 owsa. Na tej niwie znajdowały się łąki, pastwisko i staw oraz olszynka.

Niwa III „Kozubadycze” obejmowała pola pańskie i gromadzkie (numery topograficzne 936-1150) o ziemi czarnej, szarej, popielatej i glinokowatej, ugorowane co 3 lata. W pierwszym roku wysiewano hreczkę, w drugim i trzecim owies. Wydajność szacowano na 4 ziarna hreczki oraz $3\frac{1}{4}$ i $2\frac{3}{4}$ owsa. Dalej położone były pola „Zatyłki” i „Rybakoszczyzna” pańskie i gromadzkie, ugorowane co 3 lata. W pierwszym roku zasiewano żyto (wydajność $3\frac{1}{2}$ ziarna), w drugim jęczmień (wydajność 4 ziarna), a w trzecim hreczkę (wydajność 4 ziarna). Na tej niwie znajdował się też łąn pański, który nie był ugorowany; uprawiano na nim kolejno żyto (pierwszy rok), pszenicę i jęczmień (drugi rok) oraz hreczkę (trzeci rok); był również drugi łąn pański, na którym w pierwszym roku wysiewano hreczkę, a w drugim owies. Na niwie III odnotowano staw, ogrody, łąki, pastwiska i krzaki.

Niwa IV „Za mostkiem od Nawojoskiej Góry” zawierała pola pańskie i gromadzkie (numery topograficzne 1196-1296), które nie były ugorowane, a wysiewano na nich w pierwszym roku hreczkę, a w drugim owies. Wydajność szacowano na $3\frac{1}{2}$ ziarna hreczki i $2\frac{3}{4}$ ziarna owsa z jednego wysianego. Znajdowały się tam również dwa łąny pańskie. łąn pierwszy nie był ugorowany; w pierwszym roku wysiewano żyto, w drugim pszenicę i jęczmień, a w trzecim owies. Na drugim łąnie w pierwszym roku wysiewano żyto, w drugim jęczmień, w trzecim owies, a w czwartym hreczkę. Wydajność na obu łąnach szacowano na $3\frac{1}{2}$ i 4 ziarna żyta,

4 i 4 1/2 ziarna pszenicy, 4 i 4 1/2 ziarna jęczmienia, 3 1/2 ziarna hreczki, 2 3/4, 3, 3 1/4 ziarna owsa. Niwa V „Na Stawiskach i Garbie” składała się z pól gromadzkich i proboszczowskich (nr 1304-1376), wypuszczanych w tłokę co 3 lata. W pierwszym roku uprawiano żyto i hreczkę, w drugim jęczmień, a w trzecim owies. Wydajność szacowano na 3 1/4 ziarna żyta, 4 ziarna hreczki, 3 1/2 ziarna jęczmienia, 3 ziarna owsa. W dalszej części niwy odnotowano liczne pola gromadzkie, obsiewane przez trzy lata,

a w czwartym roku ugorowane. Na polach tych stosowano dwa systemy zmianowania upraw w okresie 3-letnim: hreczka - owies - hreczka oraz żyto - jęczmień - owies. Wydajność pól z 1 wysianego szacowano na: 3 i 4 ziarna hreczki, 3 1/4, 3 1/2 i 3 owsa oraz 3 żyta. Na niwie tej położone były też dwa stawy, łąki pańskie, łąki gromadzkie, pastwiska gromadzkie oraz las olchowy.



NA STYKU KULTUR I NARODÓW

Galicyskie miasta i miasteczka w józefińskim katastrze gruntowym

Tom XLVIII

DUNAJÓW, FIRLEJÓW I ROHATYN

OPRACOWAŁ TOMASZ KARGOL

Historia
lagellonica

czymi powinnościami a między nową, patentem z 10 lutego 1789 ustanowioną urbarialną należytością zachodzi.

1. Ta gromada powinności wobec zwierzchności gruntowej reguluje, odbierając pańszczyznę sprzężajną i pieszą. Powinności te, wynikające z inwentarza gruntowego z 15 kwietnia 1789, o ile nie zostały zniesione przepisami cesarskich patentów, są następujące:

- a) każdy posiadacz całogruntowy odrabia 104 dni pańszczyzny parociągłej,
- b) każdy posiadacz pół- i ćwierćgruntowy odrabia 52 dni pańszczyzny parociągłej, a ci, którzy nie mają sprzężaju, pańszczyznę powinni odrabiać pieszo.

2. Poddani, których zwierzchność gruntowa uwolniła od pańszczyzny, płacą czynsz ze swoich osiadłości.

3. Młynarze posiadający poddańcze grunty zobowiązani są do odrabiania jednego dnia w tygodniu, wychodząc do pracy z siekierą (tzw. siekierkowe).

4. Mieszkańcy posiadający grunty poddańcze na mocy przywileju erekcyjnego z 1770 r. obowiązani są oddawać miejscowemu proboszczowi rzymskokatolickiemu dziesięciny po 6 garncy żyta i owsa. Danina ta została ujęta w konsygnacjach 1, 2 i 3.

5. Poddani, którzy ze swoich gruntów dziesięciny nie oddają, nie zostali ujęci w konsygnacjach nr 4 i 5 [*listach, specyfikacjach - J.W.*].

6. Poddani posiadający tylko małe ogródki słusznie zostali zaliczeni do klasy chałupników, zobowiązanych do odrabiania 12 dni pańszczyzny pieszej.

7. Wszyscy poddani, który wypasają swoje bydło na dworskich pastwiskach, płacą rogowszczyznę: od jednego konia, woła i krowy – 7 1/2 krajcarów, za jednorocznego cielaka, jałówkę lub starą owcę – 4, za jagnię – 2, za starą świnię – 5, za podświnka – 2 1/2 krajcarów.

8. Poddani osiadający pasieki oddają dziesięcinę pszczelną: co dziesięty pień. Gdyby liczba pni była mniejsza lub większa od dziesięciu, za brakujące płacą 6 krajcarów, a za zbywające - 3 krajcary.

9. Według patentu z 9 września 1784 zwierzchność gruntowa ma prawo pobierać żarnowe w wysokości 15 krajcarów od kamienia. Danina ta nie wchodzi jednak do niniejszego porównania.

10. W tym miasteczku znajduje się 8 żydowskich familii, które własne domy posiadają. Są one zobowiązane do opłacania zwierzchności gruntowej czynszu od domów, jak wykazano w konsygnacji nr 7. Ta powinność do niniejszego porównania nie wchodzi, ponieważ Żydzi nie mają żadnych gruntów, a jedynie podana została dla ogólnej wiadomości.

11. Znajdujące się w tym miasteczku probostwo rzymskokatolickie ma własnych poddanych, wymienionych w konsygnacji nr 8, którzy zobowiązani są do następujących powinności:

a) każdy posiadacz całogruntowy odrabia 104 dni pańszczyzny parociągłej oraz przędzie 6 pasm przędzy z pańskiego przędzywa,

b) każdy posiadacz półgruntowy odrabia 52 dni pańszczyzny parociągłej [oraz] przędzie 6 pasm przędzy z pańskiego przędzywa,

c) ci, którzy nie mają sprzężaju, pańszczyznę powinni odrabiać pieszo.

12. Szlachta posiadająca grunty rustykalne i poddani miejskiego probosz-

cza, posiadający grunty, przędą 6 pasm przędzy.

13. Zagrodnicy odrabiają po 52 dni pańszczyzny pieszej i przędą 3 pasma przędzy z pańskiego przędziwa, niektórzy zaś płacą czynsz. Ponieważ jednak ich osiadłości są małe, zaliczeni zostali do klasy chałupników i zostali wymienieni w konsygnacji nr 10.

14. Ponieważ wszyscy poddani i posiadacze gruntowi podlegają władzy kościelnej, tak samo jak w Kozłowie, Przemyślanach, Narajowie i Buszcu nie są zobowiązani do żadnych innych danin.

15. Poddani wyznania greckokatolickiego płacą z każdego domu po 3 krajcary na wino i światło do cerkwi, na utrzymanie diaka płacą: całogruntowowi - 9 1/2 krajcarów, półgrunтови - 5 krajcarów oraz w czasie Wielkanocy spowiednikowi po 1/2 krajcara.

16. Zwierzchność gruntowa nie pobiera żadnych danin z: gruntów należących do probostw łacińskiego i greckokatolickiego, chłopskich gruntów pustych i nieosiadłych, gruntów dworskich, ogrodów i pasiek należących do bractwa różańcowego oraz z gruntów wolnych.

17. Ze znajdujących się w tym miasteczku pastwisk gromadzkich zwierzchność dworska nie pobiera żadnych danin.

18. Poddani, a także miejscowi duchowni ze swoimi poddanymi mają prawo do pobierania drewna z lasów dworskich. Ponieważ jednak dominium będzie musiało płacić podatek z lasów, zasadne jest, aby poddani proporcjonalnie dokładali się do tej daniny.

19. Pańszczyzna *in natura* w tym miasteczku jest potrzebna, gdyż obie zwierzchności gruntowe nie mają wystarczającego sprzężaju, żeby obrobić ziemię na swoich folwarkach.

Wykaz alegatów [nazwa dokumentu będącego załącznikiem, podstawą wystawienia innego dokumentu będącego dowodem w sprawie]

Nr 1. Konsygnacja tych poddanych z ich dochodami i dominialnymi powinnościami, którzy zwierzchności gruntowej odrabiają pańszczyznę naturalną, a katolickiemu miejscowemu proboszczowi dziesięcinę.

Nr 2. Konsygnacja tych poddanych z ich dochodami i dominialnymi powinnościami, którzy zwierzchności gruntowej płacą czynsz pieniężny, a katolickiemu miejscowemu proboszczowi dziesięcinę.

Nr 3. Konsygnacja jednego młynarza, który zwierzchności dominialnej odrabiał pańszczyznę pieszą i proboszczowi dziesięcinę.



Widokówka przedstawiająca uroczystość kościelną w Dunajowie, 1934 r.

Źródło: www.kolekcjonerski.com.pl

Nr 4. Konsygnacja tych poddanych z ich przychodami gruntowymi i dominialnymi powinnościami, którzy odrabiali pańszczyznę *in natura*. Nr 5. Konsygnacja tych poddanych z ich przychodami gruntowymi i dominialnymi powinnościami, którzy płacą czynsz gruntowy.

Nr 6. Konsygnacja poddanych, którzy uznani zostali za chałupników. Nr 7. Konsygnacja Żydów, którzy własne domy posiadają i zwierzchności gruntowej czynsz domowy muszą dawać.

Nr 8. Konsygnacja poddanych, którzy miejscowemu proboszczowi katolickiemu odrabiali pańszczyznę *in natura*.

Nr 9. Konsygnacja poddanych, którzy miejscowemu proboszczowi katolickiemu płacili czynsz.

Nr 10. Konsygnacja poddanych miejscowego proboszcza będących chałupnikami.

Nr 11. Konsygnacja gruntów, z których zwierzchność gruntowa żadnych nie pobierała dominikalnych dochodów.

Nr 12. Wykaz pobieranych od poddanych dziesięciny pszczelnej i czynszu od bydła, zwanego rogowszczyzną.

XX

Bzy

Dziewczyno spójrz! Zakwitły bzy!
Liliowe pachną kiście!
I każdy krzew radośnie drży!
Miłośnię szepczą liście!
Rozsiały aromaty!
I budzą marzeń błogie sny!
Liliowe cudne kwiaty!

Dziewczyno spiesz! Zakwitły bzy!
Przeszukaj więc krzew wszystek:
Z pewnością na nim znajdziesz ty
Kwiat szczęścia... Pięciolistek!

Zakwitły bzy! Zakwitły bzy!
Liliowe kwiecie mami,
Że słońce przedrze zwątpień mgły
Nadziei promieniami!

Dziewczyno spiesz, zakwitły bzy!
Znajdź szczęścia kwiat zwodniczy...
Nim los wyciśnie z oczu łzy...
Nim czarę da goryczy...

„Dziennik Kijowski”

Warunkiem istnienia dyktatury jest istnienie ciemnego tłumu dlatego dyktatorzy bardzo o nią dbają, zawsze ją kultuwują. I trzeba całych pokoleń, aby to zmienić, aby wnieść światło. Nim to nastąpi, często ci, co obalili dyktatora, mimowolnie i wbrew sobie działają jako jego spadkobiercy, kontynuując swoją postawą i sposobem myślenia epokę, którą sami zniszczyli.

R. Kapuściński

Red. Zdaniem autora książki „Nic to! Dlaczego historia Polski musi się powtarzać?” – Jana Maciejewskiego co jakiś czas w telewizji rosyjskiej pojawia się pseudouczony i dywaguje o istniejącej wśród Polaków rusofobii, o rosnącej niechęci do wszystkiego co rosyjskie. Na portalu onet.pl ukazały się fragmenty tej publikacji, które przypominają o niektórych źródłach polonofobii wśród Rosjan. Stan ten – jak widać – trwa do chwili obecnej i zapewne się nie zmieni w przyszłości. Dziękuję redakcji portalu za przyzwolenie skopiowania artykułu.

„Nie ma wielkiej Rosji, dopóki istnieje jakakolwiek Polska” (cz. I)

Jeśli Rosja chciała w XIX w. stać się europejskim mocarstwem, a więc czymś więcej niż tylko wschodnim imperium, dosiąść się do stolika, przy którym zapadają decyzje odnośnie do Starego Kontynentu, musiała usunąć przeszkodę w postaci Polski. Ale Rosjanie szybko się przekonali, że śmierć państwa była dopiero początkiem kłopotów z Polakami. Nie wiadomo, czy to imperium ich wchłonęło, czy bardziej oni się do niego dostali — jak groźny wirus do organizmu. Nie tylko dla Zachodu, w oczach Rosji również byliśmy zawsze „pomiędzy. Ale bardziej jak wieczny zdrajca niż aspirujący nowicjusz. Judasz Słowiańszczyzny, ła-ciński klin wbijający się w jej prawosławne ciało. Synonim wszelkich możliwych nieczystości, ducha katolicyzmu, buntu, anarchii. Nie tyle idealny, ile konieczny kandydat na ofiarę.

Rozwiązać problem z Polakami oznaczałoby dla Rosji odpowiedzieć na pytanie o samą siebie. O swoją rolę w słowiańskim, i nie tylko, świecie. W tym konflikcie ani Rosji, ani też nam od początku nie chodziło o terytoria, ale o tożsamość.

Bo tak jak ona definiowała się w kontraście do Polaków, tak my robiliśmy to samo względem niej. I jak dla Rosji zsyłki na Sybir stały się narzędziem kwarantanny, bezpiecznego zamknięcia, odseparowania tego wiecznego problemu, tak w oczach Polaków stała się ta najbardziej pustynna spośród wszystkich pustyń symbolem „płodnych na przyszłość ofiar”.

„Dokonało się! Nie ma Polski, ale buntowniczy i nieszczęśliwi jej

mieszkańcy, utraciwszy swe imię, znaleźli pokój pod władzą trzech sprzymierzonych mocarstw. Ale niech wiatr rozwieje popiół tych gruzów, gdzie tyranstwo było bożkiem! Nikt nie żałuje Polski”.

Był to pierwszy raz, kiedy Rosjanin, do tego zdeklarowany zwolennik samodzierżawia, rzucił carowi w twarz, że ten się myli. I więcej nawet — że swym błędnym postępowaniem zagraża przyszłości imperium. Taką właśnie „synowską troską” wykazał się Mikołaj Karamzin wobec Aleksandra I. Przyczyną były „liberalne rojenia” tego ostatniego w stosunku do Polski. „Chrześcijanin Aleksander może czynić dobrze zwyciężonym już wrogom państwa, zgodnie z prawem miłosierdzia, ale jedynie w takim wypadku, gdy łaska ta nie jest szkodliwa dla ojczyzny”.

Karamzin był też pierwszym, na pewno pierwszym tak wpływowym i powszechnie w Rosji poważanym, który sformułował tezę o trwałej anihilacji Polski jako warunku *sine qua non* istnienia rosyjskiego imperium. Do szweskiej pasji doprowadziły go postanowienia traktatu w Tylży: „Niezbędnym dla naszego bezpieczeństwa warunkiem [...] aby Polska nie istniała w jakiegokolwiek formie, ani pod jakąkolwiek nazwą [...] lepiej byłoby zgodzić się, aby Napoleon zdobył Śląsk, sam Berlin, aniżeli uznać Księstwo Warszawskie”.

„Polska w jakiegokolwiek postaci, nawet tak mgławicowej jak kałużowe ksiąstewko, będzie — w zależności od sytuacji — ostrzem wbitym w ciało rosyjskiego imperium albo wałem odgradzającym je od Europy. **Tak czy inaczej — nie ma wielkiej Rosji, dopóki istnieje jakakolwiek Polska. To nie kwestia ideologii, tylko racji stanu.** [podkr. J. W.] Nie trzeba było być Rosjaninem, wysłuchiwać od dziecka opowieści o „Trzecim Rzymie”, „Świętej Rusi” czy tym podobnych, żeby to zrozumieć.”

Rosyjski ambasador we Francji, Korsykanin Karol Pozzo di Borgo do Aleksandra I: „Głównym celem podboju Polski było zapewnienie narodowi rosyjskiemu liczniejszych stosunków z resztą Europy i otwarcie mu obszerniejszego pola i zarazem szlachetniejszej i bardziej znanej areny, na której mógłby rozwinąć swe siły i talenty, czyniąc zadość swej dumie, swym namiętnościom i interesom. Wszak dla pogrążenia Rosji na wieki w barbarzyństwie i dla uczynienia z niej mocarstwa wyłącznie azjatyckiego Napoleon zamierzył odbudowanie Polski; wszak dla zapewnienia Rosji dostojnego stanowiska wśród najbardziej cywilizowanych narodów Europy poprzednicy W.C. Mości pragnęli zdobyć,

które koniecznie musiały kojarzyć Rosję z tymi narodami”.

Jak do dziecka: Aleksandrze, mój mały, ależ przyjaźnij się z tym swoim Czartoryskim, pozwalaj mu nawet romansować z własną żoną, przygarnij wszystkich Polaków do piersi, baw się w układanie dla nich konstytucji; możesz naprawdę robić to wszystko. Ale na koniec dnia, kiedy pójdą już spać ukołysani twoimi bajkami, ty musisz zachować trzeźwość. Pamiętać, że albo oni, albo ty. A z tobą cała Rosja. Że jeżeli mocarstwo, to tylko po trupie Polski. Czuwaj — nad sobą i nimi. Opowiadaj im o liberalizmie i autonomii. Przekonuj — ale Polaków, nie siebie. Mów pięknie, trzymaj ich krótko.

Śmierć Polski była początkiem, aktem założycielskim rosyjskiego imperializmu, przynajmniej na europejskiej scenie. Wejściem do gry ze Starym Kontynentem, zaproszeniem go do tańca. Nie miało już odtąd znaczenia, czy jakiś Rosjanin kochał cara, czy przeciwko niemu spiskował. To proste jak dwa plus dwa równanie — albo my, albo oni — nie dawało się rozwiązać w inny sposób.

Bunt dekabrystów był pierwszym przebłyskiem „innej Rosji”, tej marzącej o Zachodzie, przeciwnej carowi, pragnącej zniesienia pańszczyzny i wprowadzenia republiki. Organizacja, której założenie było jedną z pierwszych jaskółek tego ruchu, czyli Zakon Rycerzy Rosyjskich, deklarowała w swoim programie: „bezw warunkowe i wieczyste wyłączenie imienia Polski i Królestwa Polskiego”. I tak to już odtąd było. Dla konserwatystów — Polska była symbolem „rozkładowych tendencji zachodnich”, ducha buntu i moralnej zarazy; dla panslawistów — skuszonym przed wiekami blaskami „łacińskiej pozłoty” zdrajcą, „Judaszem Słowiańszczyzny”. Z kolei dla zwolenników liberalnych reform, rosyjskich okcydentalistów — barierą postępu, moralną przepaścią w relacjach z Zachodem. „Bielmem na oczach Europy, która patrzy na nas”.

Polacy byli zarazkami groźnego wirusa, wrzodem, gangreną. Narodem — pojemnikiem na odpady, na wszystko, co złe i groźne dla zdrowego organizmu rosyjskiego Imperium. Gdyby tylko nie sprawiali sobą problemów, znali swoje miejsce w szeregu, potrafili się zachować, jak należy, to może nawet nie najgorszym rozwiązaniem byłoby podarowanie im własnego państwa. Co z rosyjskiej perspektywy odebrane zostałyby jako amputowanie chorej kończyny, wyrzucenie za drzwi zdżumionego żebraka. Byleby się ich tylko pozbyć. Wygnać na pustynię lub śmietnik historii.

Cdn.

Listy z archiwum redakcji (XIV)

Warszawa, 11 IV 2022 r.

Miły Panie Józefie,
dziękuję za list. Przyczyną mego opóźnienia jest moje wspaniałe zdrowie! Jak kiedyś pisał Boy-Żeleński – Jak się człowiek starzeje to wszystko parszycuje. I to jest święta prawda. Więc jakoś się żyje, choć współczesny świat zupełnie mi nie odpowiada! Ludzie zapomnieli stosować prostych słów: prawda, uczciwość, honor i przyzwoitość. Nie mówiąc o takich jak nie kradnij, nie zabijaj i nie kłam. Serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia.

Maria Trybulska

Klimontów 19 września 2022 r.

Szanowny Panie Redaktorze,

Z korespondencji Mojego stryja Jana Tarnawskiego, mieszkającego w Przemyślu, wynika że 1969 r. udał się do Plenikowa na grób rodziców – Izidora Tarnawskiego i Joanny z domu Kowczyńskiej. Przypuszczam z pamięci fragment listu, ponieważ list się nie zachował, a był kierowany do mojej mamy: „Droga Bratowo. Na Zaduszki udałem się do Plenikowa i zastałem taki obraz. Sad wycięli, pośrodku sadu wybudowali spichlerz na zboże, w dworze są biura kołchozu, mieszkanie dla kierownika i ochronka dla dzieci.”

Kilka lat temu (5 lat) dworek został rozebrany z powodu złego stanu technicznego. Został wybudowany przez mojego dziadka – Izidora Tarnawskiego herbu Sas, sekretarza Urzędu Miejskiego w Przemyślanach w 1909 roku, gdyż dworek modrzewiowy strawił ogień.

Serdecznie pozdrawiamy

Elżbieta i Stanisław Tarnawscy

Z historii narodów możemy się nauczyć, że narody niczego nie nauczyły się z historii.

Informacje

Po kilku latach starań Karoliny Romanowskiej rząd Ukrainy wydał 13 października 2025 r. zgodę na prowadzenie prac poszukiwawczych we wsi Ugły, w obwodzie rówieńskim, gdzie znajdują się groby bliskich K. Romanowskiej.

+ + + + + + + + +

Wysoki Sejmie,

Gminy Hanaczów i Hanaczówka wraz z obszarami dworskimi powiatu przemysłańskiego wniosły za pośrednictwem Wydziału powiatowego petycję do Wysokiego Sejmu o wydzielenie ich z okręgu c. k. Sądu powiatowego w Glinianach a przydzielenie do okręgu c. k. Sądu powiatowego w Przemyślanach. Podczas gdy bowiem z Hanaczowa do Glinian jest 26 kilometrów a z Hanaczówki do Glinian 23 km. drogi przeważnie prywatnej, w czasie roztopów śniegowych i w jesieni trudnej do przebycia, prowadzi do Przemyślan oddalonych zaledwie o 13 km. gościniec murowany, w każdej porze łatwy do przebycia.

Ponadto z powodu wybudowania nowej linii kolejowej Pod-

hajce-Lwów, mają obydwie gminy do przebycia zaledwie 2 - 4 kilometry drogi do najbliższej stacji kolejowej Krościenko-Zaciemne, skąd koleją do Przemyślan jest już tylko 10 km. Wskutek przeto złych dróg w niektórych porach roku, tracą mieszkańcy obydwóch gmin wiele trudu i ponoszą materialne szkody z powodu niestawienia się na terminy w sądzie.

Lwów, dnia 23 listopada 1911

+ + + + + + + + +

W dniach 18-19.10 2025 roku w Częstochowie odbył się X Walny Zjazd Sprawozdawczo-Wyborczy TMLiKP-W.

W zjeździe udział wzięło 61 delegatów z 30 oddziałów i kół TMLiKP-W. Po uzyskaniu przez ustępujące władze absolutorium, w głosowaniach tajnych przystąpiono do wyboru nowych władz naczelnych. Na funkcję prezesa wybrany został p. Adam Kiwacki (o. Częstochowa) na drugą kadencję. Bardzo dziękuję p. Igorowi Meggerze za wiadomość.

+ + + + + + + + +

+ + + + + + + + +

Spotkania Świrzan - biuletyn wspomnieniowo-historyczny Świrzan i Ich Potomków. Nr 180. Zebrał, opracował i wydał - Józef Wyspiański. Adres redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokola 28/6, tel. 76-74-94-125, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl. Wydano w Lubinie, IV 2026 r. Druk MCKK Lubin. Przedruk tekstów pod warunkiem podania źródła. Rozpowszechnianie - bez ograniczeń. Redakcja będzie wdzięczna za wszelkie uwagi o przedstawionych treściach. Redakcja nie zawsze identyfikuje się z poglądami wyrażonymi przez autorów.